

Wanda Mączyńska

ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC).

# PANI DE MONSOREAU

ROMANS

PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO

TOM I

Wanda Mączyńska

WARSZAWA, E. WENDE I S-ka  
T-wo KSIĘGARNI KOLEJOWYCH „RU CH“, S. A.

K 559841  
17225741

6-m/207/125



1203.

34

## ROZDZIAŁ I.

### WESELE PANA DE SAINT - LUC.

W mięsopustną niedzielę 1578 roku, po zabawach ludowych, gdy ucichł już wesoły gwar na ulicach, rozpoczęła się wspaniała uczta w pałacu, wzniesionym po drugiej stronie wody nawprost Luwru, przez znakomitą rodzinę Montmorency, spokrewnionych z rodziną królewską i żyjących na równi z książęcami domami.

Uczta tą, obchodzono uroczyście zaślubiny Franciszka d'Épinay de Saint-Luc, przyjaciela króla Henryka III, z Joanną de Cossé-Brissac, córką marszałka Francji.

Obiad odbył się w Luwrze, a król, który niechętnie patrzył na ten związek, ukazał się na uczcie z twarzą posępną, nieodpowiednią do okoliczności.

Ubiór jego zgodny był z twarzą; miał bowiem na sobie suknię ciemną brązową, taką samą, w jakiej Clouet maluje go na weselu Jukundy.

Postać jego surowa przejęła zimnym dreszczem obecnych, w szczególności zaś pannę młodą, na którą cierpko i z pod oka spoglądał.

Ponura, postać królewska wśród radosnej uczty nikogo jednak nie dziwiła, albowiem przyczyna

należała do owych tajemnic dworu, jakże każdy omija, jak kwieciste brzegi, o które rozbić się można.

Zaledwie skończono obiad, król powstał nagle, a za nim ci nawet, którzy mieli chęć dłużej przy stole pozostać.

Wtedy Saint-Luc, rzuciwszy przeciągłe spojrzenie na żonę, jakby w jej oczach odwagi chciał zaczerpnąć, zbliżył się do króla:

— Najjaśniejszy panie!.. — rzekł — racz zaszczyścić zabawę, jaką na dzisiejszy wieczór przygotowano w pałacu Montmorency.

Henryk III-ci odwrócił się z gniewem, a ujrawszy pana de Saint-Luc schylnego błagalnie, odpowiedział:

— Dobrze, będę, chociaż nie zasługujesz na nasze względy.

W tej chwili panna de Brissac, obecnie pani de Saint-Luc, zbliżyła się, ażeby podziękować królowi; lecz Henryk III-ci odwrócił się, nic nie odpowiadawszy.

— Co król ma do ciebie? — zapytała pani de Saint-Luc swego małżonka.

— Moja droga — odrzekł — później ci to opowiem, gdy ten gniew nieco przeminie.

— A czy przeminie? — zapytała Joanna.

— Musi — odpowiedział pan de Saint-Luc. Panna de Brissac nie była jeszcze na tyle panią de Saint-Luc, aby mogła więcej nalegać, stłumiła więc ciekawość, zamierzając podyktować swe warunki, gdy pan de Saint-Luc bardziej będzie skłonny do ich przyjęcia.

W chwili, gdy zaczynamy obecną historję w pałacu Montmorency, czekano właśnie na Henryka III-go.

Jedenasta już wybiła, a król nie przybył.

Saint-Luc zaprosił na bal tak swoich jak i królewskich przyjaciół; w tej liczbie był książę d'Alençon, który przy wstąpieniu na tron Henryka III-go został księciem Andegaweńskim, lecz książę Andegaweński nie był na obiedzie w Luwrze, a w pałacu Montmorency tembardziej spodziewać się go nie było można.

Król i królowa Nawary, schroniwszy się w Bern, tworzyli widoczną opozycję, stojąc na czele hugonotów.

I książę Andegaweński należał do opozycji, ale tajemnie i cicho, stojąc zawsze w tyle i popychając naprzód tych, których nie uleczył przykład La Mola i Coconnasa.

Dworzanie jego żyli w niezgodzie z dworzana mi króla, co po dwa lub trzy razy na miesiąc doprowadzało do krwawych starć, z których nie jeden wyszedł ciężko raniony, albo pozostał na placu.

Co do Katarzyny, ta stanęła u celu swych życzeń.

Najukochańszy jej syn wstąpił na tron, którego tak bardzo dla niego albo raczej dla siebie pragnęła; rządziła w jego imieniu, pozornie wyrzekając się świata i myśląc tylko o niebie.

Saint-Luc niespokojny, że nikt z familji królewskiej nie przybywa, starał się uspakajać swojego teścia niemało tem strapionego.

Przekonany, jak wszyscy o względach króla dla zięcia, liczył on na to, że jego córka zaślubi łaskawość, a nie gniew króla.

Saint-Luc starał się tchnąć weń pewność, której sam nie miał, a jego przyjaciele: Maugiron, Schomberg i Quelus, w bogatych strojach z krezami, które nabite złotem wyglądały jak półmiski z gło-

wami na uczcie Heroda, powiększali kłopot ironicznemi uwagami.

— O Boże! — mówił Quelus — żal mi cię mój przyjacielu ale jesteś zgubiony. — Król czuje niechęć do ciebie, że nie zważałeś na jego rady, ksiązę Andegaweński, że żartowałeś z jego nosa .

— Bynajmniej — odrzekł pan de Saint Luc — król nie przybył, bo pojechał do lasku Vincennes, ksiązę Andegaweński zaś dlatego, że zapomniał zaprosić damy, w której się szalenie kocha.

— Czyż nie widziałeś twarzy króla przy obiedzie? — zagadnął Maugiron. — Alboż to była twarz człowieka, który ma jechać na modlitwę? Co zaś do księcia Andegaweńskiego, gdyby nie przybył dlatego co mówisz, mogliby przecież przybyć jego przyjaciele. — Patrzaj, zupełne zaćmienie, nie ma nawet tego waligóry de Bussy.

— Tak, panowie — mówił ksiązę de Brissac smutnie wstrząsając głową — jest to ogólna niełaska. Mój Boże! dlaczegoż dom mój, tak oddany panującym, nie podobał się Jego królewskiej mości?

I stary dworak z boleścią wznosił ręce w górę.

Młodzi ludzie spojrzawszy na pana de Saint-Luc, roześmieli się na głos i zamiast uspokoić marszałka, do zupełnego przywiedli go zwątpienia.

Panna młoda milcząca i zamyślona, równie jak ojciec zastanawiała się w głębi duszy, czem jej mąż naraził się królowi.

Saint-Luc wiedział przyczynę i dlatego najbardziej był niespokojnym ze wszystkich.

Nagle, doniesiono o przybyciu króla.

— A!.. — zawołał uradowany marszałek, teraz niczego się nie lękam, i gdyby przybył jeszcze ksiązę Andegaweński, zupełnie byłbym szczęśliwy.

— A ja — mówił do siebie Saint-Luc — więcej

się martwię tem, że przybył, jak gdyby nie przybył, wiem bowiem, że przyjechał dlatego, aby mi wypłacać figla.

Mimo tej smutnej uwagi, pośpieszył naprzeciw króla, który przecież zrzucił ponury brązowy ubiór i przystroił się w atłasy, pióra i drogie kamienie.

W chwili, gdy Henryk III-ci ukazał się we drzwiach, inny król, podobny do pierwszego, i tak samo ubrany, wszedł drugim wejściem.

Dworzanie postępujący ku pierwszemu, nagle się zatrzymali, jak fala, który się rozbije o tamę i od pierwszego, do drugiego popłynęli króla.

Henryk III-ci spostrzegłszy poruszenie i widząc przed sobą otwarte usta, osłupiałe oczy i wykręcające się karki zawołał:

— Co to ma znaczyć, panowie?...

Przeciągły śmiech był całą odpowiedzią.

Król z natury cierpliwy, a teraz najmniej usposobiony do cierpliwości, zaczynał już marszczyć czoło, gdy Saint-Luc zbliżył się, mówiąc:

— Najjaśniejszy panie, Chicot, twój błazen, przebrał się jak Wasza królewska mość i podaje damom rękę do ucałowania.

Henryk zaczął się śmiać.

Chicot na dworze ostatniego z Walezjuszów używał podobnej wolności, jak Triboulet na dworze Franciszka I-go i jak w czterdzieści lat później Langely na dworze Ludwika XIII-go.

Chicot nie był zwyczajnym błaznem.

Pierwej nazywał się de Chicot, był szlachcicem bulońskim i prześladowany przez pana de Mayenne uciekł się do Henryka III-go, któremu niekiedy ciężko za dane schronienie odpłacał.

— A! panie Chicot — rzekł Henryk — dwóch królów, to za wiele.

— Najjaśniejszy panie — odrzekł błazen, pożycz mi twojej królewskiej roli, a sam przybierz rolę księcia Andegaweńskiego; kiedy cię wezmą za niego, dowiesz się, nie tego co on myśli, ale co robi.

— Dobrze — rzekł król spoglądając w około siebie; niema widzę mojego brata.

— Tem lepiej. Ja będę Henrykiem, a ty Najjaśniejszy panie Franciszkiem. Ja popanuję nieco, a ty potańcuj; ja odbędę ceremonje, a ty się zabaw.

Wzrok króla spoczął na panu de Saint-Luc.

— Masz słuszność, będę tańcował.

— Tak jest, pomyślał de Brissac, byłem w błędzie sądząc, że król jest na nas obrażony — przeciwnie, król jest w wyborowym humorze.

I biegał na prawo i na lewo uśmiechając się do każdego, a najbardziej do siebie, że wydał córkę za człowieka, który ma tak wielkie względy u króla.

Tymczasem Saint-Luc zbliżył się do swojej żony.

Panna de Brissac nie była pięknoscią, ale miała ładne czarne oczy, zęby białe, cerę przezrocza, co wszystko czyniło z niej miłą istotę.

— Panie, rzecze do męża, zawsze jedną myślą zajęta. Mówiono mi, że król nam niechętny, a przecież ciągle się do mnie uśmiecha.

— Moja Joasiu, wcaleś co innego mówiła powróciwszy z obiadu; wtedy jego wzrok nabawiał cię trwogi.

— Widać, wtedy Jego królewska mość źle był usposobiony, teraz zaś...

— Teraz gorzej — rzekł Saint-Luc. — Król uśmiecha się przymkniętymi usty, wolałbym żeby mi zęby pokazał. Joasiu, moja droga przyjaciółko,



król nam gotuje coś przykrego. O! nie patrz na mnie tak czule!... lepiej odwróć się odemnie. — Otóż Maugiron do nas podchodzi, zatrzymaj go, mów z nim, bądź grzeczną dla niego.

— Wiesz co — rzekła Joanna z uśmiechem — szczególniejsze zlecenie i gdybym je co do słowa wykonała, mogliby sądzić...

— A!... — odrzekł Saint-Luc z westchnieniem — to byłoby wcale dobrze.

I, odwróciwszy się od żony, która z podziwu przyjść do siebie nie mogła, udał się do Chicota, z komiczną nadętością odgrywającego rolę króla.

Henryk zaś, korzystając z odłożenia na bok wielkości, tańczył, lecz mimo to, z oczu nie spuszczał pana de Saint-Luc.

Jużto przywołał go, aby mu objawić jakie spostrzeżenie, i czy było zabawne, czy nie krzywiły się w uśmiechu usta nowożeńca.

Już ze swej bombonierki częstował go cukierkami, która Saint-Luc znajdował, że są wyborne.

Nakoniec, kiedy Saint-Luc wyszedł z sali, w której był król, posyłał za nim paziów i oficerów, a nowożeniec powracał z uśmiechem i grzecznością na ustach.

Nagle, hałas mocniejszy dał się słyszeć pośród gwaru i obił się o uszy Henryka.

— A! to Chicot — rzekł — zdaje mi się, że słyszę głos Chicota. Słyszysz Saint-Luc, król się gniewa?

— Tak, Najjaśniejszy panie — odrzekł Saint-Luc nie zwracając uwagi na myśl ukrytą, sądząc, że się z kimś kłóci.

— Zobacz co tam takiego? — dodał król — i powracaj.

Saint-Luc oddalił się.

W rzeczy samej, słychać było Chicota, który krzyczał przez nos, jak to król miał zwyczaj.

— Wszak wydałem rozkazy... Lecz jeżeli niedostateczne, wydam inne: że zaś nie będą smaczne, nie moja wina — na Belzebuba, panie de Bussy, sześciu paziów, to za wiele.

I nadąwszy głębę, podparł się pod boki, do złudzenia udając króla.

— Co on mówi o Bussym?... — zapytał król zmrużając powieki.

Saint-Luc powracając, miał właśnie odpowiedzieć królowi, kiedy tłum rozstępując się, zrobił miejsce sześciu paziom ubranym w lamy złote, ozdobionym łańcuchami i mającym na piersiach herby błyszczące od drogich kamieni.

Za nimi szedł młody człowiek, piękny i poważny, postępując ze wzniesioną głową, spojrzeniem dumnym i wydetą wargą.

Strój jego był z czarnego aksamitu i odbijał swą skromnością od ubioru paziów.

„Bussy”, mówiono, „Bussy d'Amboise”.

Wszyscy biegli naprzeciw młodego człowieka, który sprawił to zamieszanie.

Maugiron, Schomberg i Quelus stąpali przy królu, jakby go bronić chcieli.

— Patrzcie — mówił pierwszy, robiąc przymówkę do niespodziewanego przybysza pana de Bussy — patrzcie, oto sługa a pana nie widać.

— Cierpliwości — odpowiedział Quelus — przed sługą przychodzą słudzy sług. Pan sługi, przyjdzie może za panem służącym.

— Powiedz raczej — mówił Schomberg — że Saint-Luc jest najmłodszym z ulubieńców króla, ale walecznym, a pan de Bussy mało go może ceni; po-

wiedz mi, co znaczy ten strój czarny? wszak to nie godowa szata?

— Bynajmniej — odrzekł Quelus — to pogrzebowa.

— Ha! — pomruknał król — może zawczasu po sobie nosi żałobę.

— Ale mimo wszystkiego — dodał Maugiron — księżę Andegaweński nie przybywa za panem de Bussy. Saint-Luc, czy i z tej strony jesteś w niełasce?

Słowa te ugodziły w serce nowożeńca.

— Dlaczegoż ma za nim chodzić? — odparł Quelus. Czy nie pamiętacie, że kiedy Jego królewska mość żądał, aby Bussy przyjął u niego służbę, odpowiedział: pochodzę z książęcego domu Clermont i nie potrzebuję być zależnym od nikogo tylko sam od siebie.

Król zmrużył powieki i przygryzł wąsa.

— Mimo to — zagadnął Maugiron — jak mi się zdaje, jest przy księciu Andegaweńskim.

— A... bo księżę Andegaweński większym jest panem od naszego króla — odrzekł Quelus prze-wlekle.

Uwaga ta żywo dotknęła Henryka, który po bratersku nienawidził księcia Andegaweńskiego.

Chociaż nie rzekł słowa, ale widziano jak po-bladł.

— Panowie! — drżącym głosem odezwał się Saint-Luc — oszczędzajcie moich biesiadników i nie psujcie zabawy.

Wyrazy te inny bieg nadały myślom Henryka.

— Tak — rzecze — nie psujcie panowie zabawy.

I musnął wąsa z szyderczym wyrazem, który nie uszedł oka pana młodego.

— Patrzcie — zawołał Schomberg — Bussy teraz jest w przyjaźni z panem de Brissac.

— Dlaczego? — zapytał Maugiron.

— Bo Saint-Luc go broni. — Cóż u licha! alboż na tym świecie nie dosyć bronić siebie, krewnych i przyjaciół?

— Panowie! — odezwał się Saint-Luc — pan de Bussy nie jest mi krewnym, ani przyjacielem, lecz gościem!..

Król groźnie spojrział na pana de Saint-Luc.

— Prócz tego — dodał strwożony spojrzeniem króla — ja go bynajmniej nie bronię.

Bussy z powagą zbliżał się, mając powitać króla, kiedy Chicot obrażony, że nie jemu najprzód złożono uszanowanie, zawołał:

— Ja, tu,... Bussy, Bussy d'Amboise, Ludwiku de Clermont, hrabio de Bussy; jak widzę, trzeba wyliczyć wszystkie twoje tytuły, żebyś poznał, kto mówi do ciebie. — Jakto! nie poznajesz króla?... Tamten nie król, to Chicot, mój trefniś, który mię dzisiaj nadzwyczaj rozśmiesza.

Bussy, nie zważając na tę mowę, stanął przed Henrykiem, i kiedy miał się pokłonić, król rzekł:

— Panie de Bussy, czy nie słyszysz, że cię wołają?

I pośród śmiechu swych ulubieńców, tyłem się odwrócił do młodego rycerza.

Bussy zaczerwienił się z gniewu, ale miarkując wzruszenie i udając, że bierze zaprawdę dane mu ostrzeżenie, odwrócił się do Chicota.

— A! przebac Najjaśniejszy panie — wyrzekł — są ludzie podobni do trefnisiów i nie moja wina, że twój trefnisią wziąłem za króla.

— Hm! — mruknął Henryk — co on powiedział?

— Nic, Najjaśniejszy panie — odpowiedział Saint-Luc, który dzisiaj zdawał się mieć posłannictwo niesienia pokoju — nic, bynajmniej...

— Nic to nie szkodzi, panie de Bussy — mówił Chicot, wspinając się na palcach, jak czynił król, gdy chciał dodać sobie powagi, tego jednak nie można przebaczyć...

— Przebacz Najjaśniejszy panie — odparł Bussy — byłem nieco roztargniony.

— To przez twoich paziów — mówił Chicot z niechęcią.

Rujnujesz się na paziów i naruszasz przez to nasze przywileje.

— Jakto — zapytał Bussy — który pojął, że, poddając się trefnisiowi, coś nowego wywoła. Racz Najjaśniejszy panie wyrazić się jaśniej, a jeżeli wienien jestem, chętnie się upokorzę.

— Jakto!... te dzieciaki w złotej lamie — mówił Chicot wskazując palcem na paziów, a ty, szlachcic, pułkownik, Clermont, prawie księżę, tylko w czarnym aksamicie!

— Najjaśniejszy panie — odrzekł Bussy zwracając się ku ulubieńcom króla: skoro żyjemy w czasach, w których dzieci chodzą jak księżęta, uważam za stosowne, aby księżęta ubierali się skromnie.

I oddał ulubieńcom, lśniącym od ozdób, wzdargliwy uśmiech, którym go uraczyli przed chwilą.

Henryk spojrział się po ulubieńcach, zbladłych od gniewu i czekających jednego skinienia, aby się rzucić na Bussego.

Quelus, najwięcej porywczy, z którym gdyby nie zakaz królewski, nieraz już miałby do czynienia, dotknął rękoności szpady.

— To do mnie i do moich mówisz zapewne?...

— zawołał Chiçot, który, grając dalej rolę króla, odpowiadał za Henryka.

I rzekłszy te słowa, trefniś przybrał postawę obrażonego, a połowa sali parsknęła śmiechem.

Druga połowa nie śmiała się; było to naturalnem, bo jedna szydziła z drugiej.

Tymczasem, trzech przyjaciół pana de Bussy, stanęło koło niego.

Był to Karol Balzac d'Entraques, którego zwykle nazywano Antraquet, Livarot i Ribeirac.

Widząc oznaki nieprzyjaźni, Saint-Luc domyślał się, że Bussy przybył ze strony księcia, aby wszcząć jaką kłótnię.

Drżał jak listek, bo czuł się wziętym pomiędzy dwa potężne ognie, które obrały sobie jego dom za pole bitwy.

Pobiegł więc do Quelusa, który zdawał mu się najgwałtowniejszym i, kładąc rękę na rękojęści jego szpady, rzekł:

— W imię nieba! przyjacielu, miarkuj się, czekajmy...

— Miarkuj się sam!... — odrzekł Quelus — ostrze jego szpady tak daleko sięga jak i moje; któkolwiek mówi przeciwko któremukolwiek z nas, mówi przeciwko wszystkim, a kto mówi przeciwko wszystkim, obraża króla.

— Quelus, Quelus — prosił Saint-Luc, pamiętaj o księciu Andegaweńskim, który czuwa, choć jest nieobecny i którego choć niewidzialnego, lękać się trzeba. Nie posądzisz mię zapewne, abym się lękał sługi, ale co do pana...

— Przez Boga!... — zawołał Quelus — czegoż się ma lękać ten, kto służy królowi Francji? Jeżeli dla niego narażamy się na niebezpieczeństwo, on nas obroni.

— Tak, zapewne, ciebie, ale co do mnie...

— A naco się żeniłeś, wiedząc jak król jest zazdrosny w przyjaźni?

— Zapewne — mówił Saint-Luc do siebie — każdy sobie życzy najlepiej. Ale nie zapominajmy się, pragnę żyć spokojnie choć piętnaście dni po ślubie i muszę zjednać księcia d'Alençon.

Zrobiwszy tę uwagę opuścił Quelusa, a postąpił ku panu de Bussy.

Po nieprzyjemnej apostrofie, Bussy podniósł głowę i powiódł okiem po sali, wytężając słuch i spodziewając się w zamian niegrzeczności.

Ale wszystkie twarze były odwrócone i wszystkie usta zamknięte.

Jedni lękali się króla, drudzy Bussego.

Ostatni widząc, że Saint-Luc się zbliża, sądził, że znalazł, czego szukał:

— Panie — rzekł Bussy — czy temu, co powiedziałem, winien jestem zbliżenie, którego pan jak widzę szukasz?

— Temu co powiedziałeś?... — zapytał Saint-Luc najuprzejmiej. — Cóż takiego powiedziałeś? wcale nie słyszałem, nawet nie widziałem cię i chciałem obecnie powitać i złożyć ci podziękowanie, żeś dom nasz zaszczycił.

Bussy był człowiekiem wyższym w każdym względzie: waleczny, aż do szafu, wykształcony, dowcipny i przywykły do dobrego towarzystwa.

Znał waleczność pana de Saint-Luc i pojmował, że gościnność pokonywała w nim wszelkie rachuby.

Każdemu innemu powtórzyłby swój zwyczajny frazes, to jest, wyzwiałby go; panu zaś Saint-Luc odpowiedział grzecznością.

— A!... — mówił Henryk widząc pana młodego

przy Bussym, sędzę, że mój młody kogut porządnie zapał. — Przecież nie chciałbym, aby go zabił. Idźno się dowiedz o co tam chodzi? — rzekł do Quelusa. — Albo nie, tyś zapalona głowa; lepiej niech idzie Maugiron.

Maugiron pobiegł jak strzała, lecz Saint-Luc nie mogąc zostać dłużej z Bussym sam na sam, wrócił do króla i przywiódł pana de Maugiron.

— Coś temu śmiałkowi Bussemu powiedział? — zapytał król.

— Ja, Najjaśniejszy panie?

— Tak, ty.

— Powiedziałem mu dobry wieczór.

— Tylko? — bąknął król.

Saint-Luc spostrzegł się, popełnił niedorzeczność.

— Powiedziałem mu dobry wieczór — rzekł — i później dodałem, że jutro powiem mu dzień dobry.

— Tegom się spodziewałem — odrzekł Henryk — niedorzeczność.

— Ale racz Wasza królewska mość zachować tajemnicę.

— O! tak — mówił przez zęby Henryk — ja to wcale nie do ciebie powiedziałem. — To niezawodne, że gdybyś mógł uwolnić mię od niego...

Ulubieńcy królewscy spojrzeli po sobie, czego Henryk jakby nie uważał.

— Bo — mówił król dalej — ten zuchwalec...

— Zapewne, zapewne — przerwał Saint-Luc. — Przecież dziś, albo jutro trafi na swego.

— Hum! — mruknął król — djabelnie szpada robi. Czemuż go wściekły pies nie ukąsi, to byłoby dla nas dogodniej.

I spojrzął z pod oka na Bussego, który z kilkoma przyjaciółmi przechodząc po salonie, potrącał



najnieprzychylniejszych księciu Andegaweńskiemu, czyli tem samem najprzychylniejszych królowi.

— Do szatana — zawołał Chicot — nie trącaj panie Bussy moje ulubionej szlachty, bo tak dobrze jak każdy inny dobędę szpady.

— A! — z uśmiechem mruknął Henryk — na honor, dobrze widzi rzeczy...

— Ukarzę Chicota, Najjaśniejszy panie, jeżeli podobne będzie stroił żarciki, — odezwał się Mau-giron.

— Nie narażaj się; Chicot jest szlachcicem i pod względem honoru jest bardzo drażliwy. — Zresztą, nie on zasługuje na karę, bo nie on jest najzuchwal-szym.

Tym razem trudno się było omylić, Quelus dał znak panom d'O i d'Epernon.

— Panowie — rzekł Quelus odwodząc ich na stronę — pójdźcie na radę, ty zaś Saint-Luc rozmawiaj z królem i dokończ zgody, jak mi się zdaje, szczęśliwie zaczętej.

Saint-Luc wolał tę rolę i zbliżył się do króla i do Chicota, którzy się właśnie zesłi.

Tymczasem Quelus, odprowadził do okna czterech przyjaciół.

— I cóż? — zapytał d'Epernon — właśnie umiz-gałem się do jednej z dam i jeżeli nic ważnego nie powiesz, gniewać się będę.

— Mam wam powiedzieć moi panowie — odrzekł Quelus — że zaraz po balu idziemy na polowanie.

— Dobrze — rzekł d' O — ale na jakie?

— Na dzika.

— Cóż za szaleństwo przyszło ci do głowy, drzeć na zimnie i narażać się na rozszarpanie?

— Co mnie to obchodził ja idę.

— Sam?

— Bynajmniej, z Maugironem i Schombergiem. Będziemy polowali dla króla.

— Rozumiem — rzekli razem Schomberg i Maugiron.

— Król chce jeść jutro pieczeń z dzika.

— Przyprawioną po włosku — dodał Maugiron.

— A! pojmuję — mówił d'Epernon.

— O co idzie, nic nie rozumiem — rzekł d'O.

— A zatem patrzaj w około siebie, kochanku.

Czy nie ma tu nikogo, któryby ci urągał?

— Zdaje mi się, że Bussy.

— A więc, niech ci się zdaje, że dzik, z którego pieczeń, będzie miła królowi...

— Sądzicie, że król... — mówił d'O.

— Żąda tego — odparł Quelus.

— A więc dobrze, polowanie! ale jak?

— Na upatrzonego.

Bussy spostrzegł naradę i nie wątpiąc, że mowa o nim, zbliżył się ze swemi przyjaciółmi.

— Patrz, Antraquet. patrzaj Ribeirac — rzekłbyś że to Euriales i Nisus, Damon i Pitias, Kastor i... ale gdzie Polux?

— Polux się żeni — odrzekł Antraquet — i otóż Kastor osierocony.

— Cóż oni tam robią? — zapytał Bussy patrząc dumnie.

— Założyłbym się — odrzekł Ribeirac — że radzą o nowym kosmetyku.

— Bynajmniej moi panowie — odezwał się z szyderczym uśmiechem Quelus — mówimy o polowaniu.

— Jak na kupidyna — rzekł Bussy — cokolwiek za zimno, może mu skóra popękać.

— Panie — odpowiedział Maugiron z tym samym wyrazem — mamy ciepłe suknie.

— Al! to cò innego ! — rzekł Bussy — a rychło macie polować?

— Może dzisiejszej nocy — odpowiedział Schomberg.

— Pójdę powiedzieć królowi — rzekł Bussy — że jutro swych ulubieńców powita zakatarzonych.

— Nie trudź się pan daremnie — przerwał Quelus — król wie o naszym zamiarze.

— Połujecie na skowronka? — zapytał z lekceważeniem Busy.

— Bynajmniej, połujemy na dzika?

— Na grubego zwierza? — zapytał Antraguët.

— Trzeba go wypatrzyć — dodał Livarot.

— Wypatrzymy — rzekł d'O. — Pójdź z nami, panie de Bussy.

— Nie mogę — odpowiedział zwyczajnym sobie tonem. — Jutro rano muszę być u księcia d'Alencon, który ma przyjmować pana de Monsoreau, świeżo mianowanego wielkim łowczym.

— A dzisiaj? — zapytał Quelus.

— Dzisiaj także nie mogę, mam tajemną schadzkę na przedmieściu św. Antoniego.

— Al! zapewne królowa Margot w Paryżu — zrobił uwagę d'Épernon.

— Tam niezawodnie; panie Quelus, będę cię prosił o radę...

— Chociaż nie jestem adwokatem, chętnie udzielię dobrej rady, mianowicie przyjaciółom...

— Mówiono mi, że ulice nie są bardzo bezpieczne, a przedmieście św. Antoniego dosyć odległe. Którędy radzisz mi się udać?

— Gdybym był na twojem miejscu — rzekł Quelus — udałbym się przez Pre-aux-Cleres, następnie, koło wielkiego Chatelet, ulicą Tixeranderie i na przedmieściu św. Antoniego. Przy końcu przedmieścia św. Antoniego, jeżeli bez wypadku przepędzisz plac To-

urnelles, możesz być pewny, że dostaniesz się do tajemnego domu, o którym dopiero co mówiłeś.

— Dziękuję — rzekł Bussy. — Mówisz przez Pres aux-Cleres, około wielkiego Chatelet, przez ulicę Tixeranderie i św. Antoniego. — Nie zбочę nawet i kroku.

I ukłoniwszy się pięciu panom, odszedł, mówiąc:

— Mój Antraquet, niema z nimi co robić, pójdźmy.

Livarot i Ribeirac śmiać się zaczęli, idąc za Bussym i Antraquetem, którzy wciąż się oglądali.

Ulubieńcy króla byli spokojni, jakby nic nie pojmowali.

Bussy, przebywając ostatni salon, w którym znajdowała się pani de Saint-Luc, nie spuszczająca oczu z małżonka, został przez nią zatrzymany

— A! panie Bussy — rzekła — wszędzie mówią o pięknym sonecie, przez ciebie napisanym.

— O sonecie? — zapytał Bussy.

— Tak, na cześć królowej. — Racz mi go powtórzyć.

— Chętnie — rzekł Bussy, podając rękę pani de Saint-Luc i oddalił się z nią powtarzając sonet.

Tymczasem, Saint-Luc z cicha podszedłszy do ulubieńców króla, posłyszał, co mówił Quelus.

— Zwierz nie ujdzie, tylko bacność przy rogu placu Tournelles, przy bramie pałacu św. Antoniego, wprost pałacu Saint-Paul.

— Czy mamy wziąć służących? — zapytał d'Epéron.

— Nie potrzeba — odrzekł Quelus — pomiędzy nami pewniejsza tajemnica i sami damy mu rady. Chociaż go nienawidzę, nie pozwolilibym, aby kij mego lokaja miał go dotknąć — zanadto jest godny nas samych.

— Więc w sześciu wyjdziemy? — zapytał Maugiron.

— W pięciu, a nie sześciu — odezwał się Saint-Luc.

— A! prawda, zapomnieliśmy, żeś się ożenił — rzekł Schomberg.

— Zapewne — zabrał głos d'O — nie można go odrywać od żony, jeszcze pierwszej nocy po ślubie.

— Moja żona bynajmniej mię nie zatrzymuje — odrzekł Saint-Luc — chociaż zgodzicie się panowie, że godną jest, abym przy niej pozostał. Król tego żąda.

— Jakto, król?

— Tak, Jego królewska mość żąda, abym go odprowadził do Luwru.

Młodzi ludzie spojrzeli na siebie z uśmiechem, którego Saint-Luc nie zdołał zauważyć.

— Czegóż chcesz? — odrzekł Quelus — król tyle okazuje dla ciebie przyjaźni, że bez ciebie obejść się nie może; zresztą nie tak bardzo jesteś nam potrzebny...

Wtem dał się słyszeć głos Henryka, przyzywający pana de Saint-Luc.

— Panowie — rzekł — król mię woła, słyszycie? życzę powodzenia.

I oddalił się. Lecz zamiast udać się do króla, przemykając się pod ścianą, wśród widzów i tańczących, dostał się do drzwi, któremi Bussy miał wychodzić.

— Żegnam cię, panie de Saint-Luc — powiedział Bussy. — Co znaczy twoje pomieszenie? Czy i ty masz brać udział w owem wielkiem polowaniu? prawda, byłby to z twojej strony dowód odwagi, ale bynajmniej nie grzeczności.

— Nie, panie — odpowiedział Saint-Luc — szukałem ciebie.

— Mnie?

— I lękałem się, abys już nie wyszedł. Joasiu — dodał — powiedz ojcu, aby zatrzymał króla, ja muszę parę słów pomówić z panem de Bussy.

Joanna śpiesznie odeszła.

— Co masz mi do powiedzenia, panie de Saint-Luc?... — zapytał Bussy.

— Chciałem cię ostrzedz — odrzekł zapytany — abys, jeżeli w istocie masz schadzkę, odłożył ją do jutra, albo przynajmniej unikał pałacu Tournelles, gdzie może cię spotkać niemiła przygoda. Nie myślę ja, broń Boże, abys się lękał, jednakże rozważ...

W tej chwili dał się słyszeć głos Chicota.

— Saint-Luc!... Saint-Luc!... nie chowaj się, musisz mię odprowadzić do Luwru.

— Jestem na twoje usługi, Najjaśniejszy panie — odpowiedział Saint-Luc, biegnąc za głosem Chicota.

Przy trefnisiu, stał Henryk III-ci, któremu paż podawał futro, inny ogromne rękawice aż po łokcie, a trzeci maskę aksamitną.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się Saint-Luc, jestem na twoje rozkazy.

— Dobrze, dobrze — mówił Henryk. — Moi przyjaciele wszyscy są ladaco; szaleją, a mnie samemu pozwalają wracać do Luwru. Dobry, poczciwy Saint-Luc, ty mnie nie odstępisz. Pójdź poważny, żonaty przyjacielu, ty mnie odprowadzisz do królowej. Hej! konia dla pana Saint-Luc! albo nie, moja kolaska dość szeroka, możemy się zmieścić.

Joanna de Brissac jednego wyrazu nie straciła

z mowy królewskiej; chciała się odezwać, ale skienienie męża nakazało jej milczenie.

— Do licha!... — szepnął — uwolniwszy się od Franciszka Andegaweńskiego, nie myślę różnić się z Henrykiem Valois. Najjaśniejszy panie — dodał głośno — tyle mam miłości dla ciebie, że pójdę za tobą na koniec świata.

Nastąpiło zamieszanie, klęknięcia, pożegnania; niepodobna było dosłyszeć, co król mówił do panny de Brissac i jej ojca.

Konie zarżały na dziedzińcu, pochodnie jaskrawo odbiły się w oknach, król odjechał. Za nim, pomалу dworzanie i inni biesiadnicy opuścili weselną ucztę.

Jonna, pozostawszy tylko ze służącymi, uknęła przed obrazem świętego, do którego szczególne miała nabożeństwo, następnie zażądała aby ją zostawiono samą i niecierpliwie czekała męża. Pan de Brissac posłał sześciu służących aby towarzyszyli jego zięciowi, gdy będzie powracał.

Po dwugodzinnem czekaniu, słudzy powrócili i powiedzieli, że bramy Luwru są zamknięte i że kapitan służbowy kazał im wracać, bo król już śpi, i nikt z Luwru wyjść nie może.

Marszałek zaniósł tę wiadomość córce, która z niepokoju o męża, usnąć nie mogła przez całą noc.

## ROZDZIAŁ II.

### NIE ZAWSZE TEN CO DRZWI OTWIERA WCHODZI DO DOMU.

Brama Ś-go Antoniego był to rodzaj kamiennego sklepienia. Lewym bokiem łączyła się z przyle-

głemi gmachami i była niejako częścią starej warowni.

Noc, której wypadki mamy opowiedzieć, była chłodna, pochmurna i ciemna; niepodobna było dostrzedz strażnika na bramie, ani on nie mógł dożyć przechodzących.

Przed bramą Ś-go Antoniego, od strony miasta, nie było żadnego domu, tylko ciągnął się mur.

Murem tym był, otoczony pałac Tournelles. Obok pałacu od strony ulicy Ś-tej Katarzyny, miał przechodzić pan de Bussy.

Żadna latarnia nie oświecała tej części Paryża.

Bystre tylko oko, w rogu murów Tournelles dostrzegłoby kilka cieniów, które poruszając się od czasu do czasu, przekonywały, że należą do boskich stworzeń, pragnących utrzymać w sobie żywotne ciepło, jakie mroźna atmosfera ustawicznie pochłaniała.

Straż na wieży, nie mogąc nic dostrzedz z powodu ciemności, nie mogła również nic usłyszeć, albowiem owe cienie prowadziły cichą rozmowę.

— Przeklęty Bussy miał słuszność — mówił jeden z cieni, — to noc prawdziwie północna, jakie, poznaliśmy, gdy król nasz panował w Polsce; na honor, jeżeli to długo potrwa, krew w nas skrzepnie.

— Co u licha!... skarżysz się jak kobieta — odpowiedział drugi cień. — Prawda, że nie jest ciepło, ale otul się płaszczem i włóż ręce w kieszenie.

— Prawda Schombergu — rzekł trzeci — wiadać żeś niemiec, bo masz środki na zimno prawdziwie niemieckie. Ale mnie wasy najeżyły się lodem i para zamarza mi pod nosem.

— Najgorzej zimno mi w ręce — rzekł czwarty. Na honor, zupełnie ich nie czuję.

— Dłaczegoż mój Quelusie nie wzięłeś rękaw-



ka od mamy?... — zapytał Schomberg. — Chętnieby ci pożyczyła, osobiłwie gdy idzie o kochanego Bussy, którego i ona lubi tak jak zarazę.

— Nie narzekajcie — odezwał się piąty — za chwilę będzie wam aż nadto gorąco.

— Daj Boże! — odpowiedział Maugiron, tupiąc nogami dla ogrzania się.

— Ciszej! ciszej! zawołał d'O, — zdaje się, że ktoś idzie od ulicy Św. Pawła.

— Nie, to nie on.

— Dlaczego nie on?

— Bo inną drogę oznaczył.

— Cóż dziwnego, gdyby ją zmienił?

— Nie znasz Bussego, któregoś mówił, tamtędy pójdzie, chociażby wiedział, że diabła spotka.

— Tymczasem — rzekł Quelus — idzie dwóch ludzi.

— Na honor, prawda, dwóch — powtórzyło kilka głosów.

— Bacność! — zawołał Schomberg.

— Ale bądźmy ostrożni, aby nie zaczepiać spokojnych mieszczan lub kobiet — mówił d'Epernon.

— Patrzcie, stanęli.

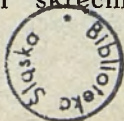
W rzeczy samej, na rogu ulicy Św. Pawła, wychodzącej na ulicę Św. Antoniego, dwie osoby, zajmujące uwagę pięciu czatujących, zatrzymały się.

— Patrzcie — mówił Quelus — zwracają się na lewo, zatrzymują się przed jednym z domów, szukają czegoś.

— Nie inaczej.

— Jakby wejść chcieli — rzekł Schomberg. Miałżeby nam ujść?

— Ależ to nie on, bo miał iść przecie na przedmieście Św. Antoniego, a ci skrecili na ulicę Św. Pawła — rzekł Maugiron.



— Kto wie — zagadnął Schomberg — czy nie wskazał nam mylnej drogi, bądź z lekceważenia, bądź naumyślnie.

— I to być może — zakończył Quelus.

Ta myśl poruszyła młodych ludzi z miejsca i ze szpadami dobytymi poskoczyli ku dwom osobom, które się zatrzymały przy bramie domu.

Jedna z tych osób włożyła klucz w zamek i brama miała się już otworzyć, gdy szelest kroków zbliżających się zatrzymał dwie tajemnicze osoby.

— Co tam takiego? — zapytała jedna, zwracając się do towarzysza. — D'Aurilly, może oni nas napastują.

— A! Jaśnie oświecony panie — zapytał ten, który otwierał bramę. — Czy dasz się poznać, czy zachowasz incognito?

— Zbrojni!

— Może zadrośni kochankowie. — Mówiłem Waszej księżęcej mości, że ta pani jest bardzo piękna i musi mieć dużo ubiegających się o jej względy...

— Wejdzmy prędzej, d'Aurilly. — Lepsze stanowisko za, niż przed drzwiami.

— Zapewne; ale któż powiedział...

Nie miał czasu skończyć — młodzi ludzie szybko przebiegli przestrzeń stu kroków.

Quelus i Maugiron, idący koło muru, stanęli przed drzwiami, Schomberg, d'O i d'Epernon, atak wprost rozpoczęli.

— Na śmierć! na śmierć — wołał Quelus, najwięcej zagorzały.

Nagle ten, którego nazywano Jaśnie oświeconym i którego towarzysz pytał, czy ma zachować incognito, zwrócił się do Quelusa, postąpił naprzód i z dumą założył ręce.

— Sądzę, że mówiłeś: na śmierć! czy wiesz do kogo i na kogo — odezwał się głos ponury i groźny.

Quelus się cofnął i ręce mu opadły.

— Jaśnie oświecony książę! — powtórzyli inni.

— O cóż to chodzi? — zapytał Franciszek Andegaweński — on to był bowiem — czemuż, moi panowie, jeszcze nie wołacie: na śmierć! na śmierć!

— Jaśnie oświecony książę — bąkał d'Epéron — to był żart.

— Jaśnie oświecony panie — mówił z kolei d'O — nie sądziliśmy, aby to była Wasza książęca mość, w tak oddalonej części miasta i tak późno.

— Żart! — odparł Franciszek, nie racząc panu d'O odpowiedzieć. — Nie najszczególniejszy masz sposób żartowania.

— Ponieważ nie dla mnie był ten żart przygotowany, ciekawym, komu on groził?

— Mości książę — odrzekł z uszanowaniem Schomberg — widzieliśmy, jak Saint-Luc wyjechał z pałacu Montmorency i w tę udał się stronę; otóż byliśmy ciekawi, jaki interes mieć może świeżo zaślubiony małżonek...

Wymówka znalazła wiarę, bo nazajutrz książę Andegaweński dowiedział się, że Saint-Luc nie nocował w domu.

— A więc wzięliście mnie za pana de Saint-Luc?

— Nie inaczej — powtórzyło naraz pięć głosów.

— Od jakiegoż to czasu popełniacie podobne omyłki? — zawołał książę Andegaweński, — pan Saint-Luc wyższy odemnie o głowę.

— Tak jest, Jaśnie oświecony książę; lecz wzrostem podobny do pana d'Aurilly, który ci towarzyszy.

— Przytem noc taka ciemna — dodał Mau-  
giron.

— Nakoniec — mówił Quelus, Wasza książe-  
ca mość nawet przypuścić nie może, abyśmy chcie-  
li przeszkadzać jego zabawom.

Słuchając odpowiedzi mniej więcej logicznych,  
Franciszek opuścił próg bramy, a za nim szedł  
d'Aurilly, zwykły towarzysz nocnych wycieczek;  
gdy się nieco oddalił, rzekł z cierpkością:

— Moim zabawom! a któż wam powiedział, że  
ja się bawię?

— A! Jaśnie oświecony książe — odpowiedział  
Quelus — w jakimkolwiek przybywasz tu celu racz  
nam przebaczyć, my się oddaliśmy...

— Żegnam panów.

— Nasze uszanowanie znane Waszej książęcej  
mości — dodał d'Epernon.

Książe Andegaweński zrobiwszy kilka kroków,  
zatrzymał się i marszcząc czoło rzekł:

— Wasze uszanowanie, a kto was o to pyta?

— Sądziliśmy, że Wasza książećca mość sam  
i o tej porze...

— Jesteście w błędzie. Oto jak się rzecz ma  
i chcę, aby mi wierzone.

Młodzi kawalerowie słuchali z najgłębszem  
uszanowaniem tego co następuje:

— Wyszedłem — mówił książe Andegaweński  
wolno i wyraźnie, jakby chciał każdy wyraz wyrzucić  
w duszy słuchaczy — wyszedłem poradzić się ży-  
da Manassessa, który czyta przyszłość ze szkła i  
z fusów kawy. Jak wiecie mieszka on na ulicy  
Tournelle. D'Aurilly przechodząc, spostrzegł was  
i wziął za patrol łuczników. Otóż — dodał, z uda-  
ną wesołością, chcieliśmy ująć przed waszemi oczy-  
ma.

Tak mówiąc, księżę nieznacznie wszedł na ulicę świętego Pawła i znalazł się w miejscu, z którego mógł go dosłyszeć strażnik w Bastylji, nie ze wszystkiem bowiem wierzył grzeczności ulubieńców królewskich, bo wiedział, jaką straszną nienawiść żywi dla niego w swej piersi Henryk III-ci.

— Teraz panowie, skoro wiecie wszystko — mówił księżę — żegnaj was.

Wszyscy skłonili się, a księżę idąc, wciąż się oglądał.

— Mości księżę — mówił d'Aurilly — przysiągłbym, że ci panowie jakieś złe mieli zamiary.

Północ wybiła, jesteśmy daleko od miasta, schrońmy się zatem w bezpieczne miejsce.

— Bynajmniej — odrzekł księżę przystając — przeciwnie, korzystajmy z ich odejścia.

— Waszą księżęcą mość jest w błędzie — mówił d'Aurilly — oni nie odeszli, lecz owszem zebrali się razem i widać ich przy rogu pałacu Tournelles.

Franciszek spojrział.

D'Aurilly mówił prawdę.

Pięciu młodych kawalerów w rzeczy samej powróciło na swoje stanowisko, skąd mieli dokonać swego zamiaru, albo podglądać księcia, czy uda się do Manassessa.

— I cóż uczynimy?... — zapytał d'Aurilly, prawda, pragnę być posłusznym, ale nie wiem czy bezpiecznie tu pozostać.

— Do pioruna!... — zawołał księżę, a jednak przykro się cofać.

— Tak, wiem o tem: lecz to, co zamierzamy i jutro można wykonać.

Miałem przyjemność powiedzieć Waszej księżęcej mości, czego się dowiedziałem.

Dom najęty na rok, owa dama mieszka na

pierwszem piętrze, mamy stosunki z jej pokojową i posiadamy klucz.

Są to znaczne korzyści.

— Czy jesteś pewny, że bramę otworzyłeś?

— Najpewniejszy.

— A czy ją na powrót zamknąłeś?

— Bramę?

— Tak.

— Zapewne.

Z niepewności tonu d'Aurillego wnosić było można, że bramy owej nie zamknął — jednak książe nie zauważył tego.

— Wszystko to dobrze — mówił książe — ale nie wiem co to znaczy?...

— Ja mogę Waszej książęcej mości powiedzieć; oni na kogoś czatują. Wasza książęca mość ma nieprzyjaciół i kto wie...

— A więc wracajmy!

— Przynajmniej nie w tak ciemną noc.

Moje obawy są słuszne, bo towarzyszę pierwszemu księciu krwi królewskiej, następcy tronu, którego ażebyś nie posiadał, tylu sobie życzy...

Ostatnie wyrazy skłoniły Franciszka do odwrotu; przecież w duchu nie przebaczył kawalerom, którzy stanęli na przeszkodzie jego zamiarom i postanowił przy zdarzonej sposobności godnie im odpłacić.

— Dobrze — rzekł — wracajmy do pałacu; tam zastaniemy Bussego, gościa z owego przekłętogo wesela; kto wie, może tam zabił którego z kochanków; toby mnie serdecznie ucieszyło.

— Być może; w Bussym można położyć zupełną ufność.

I poszli.

Zaledwie zwrócili się na ulicę Jouy, gdy nasi

czatownicy ujrzeli zbliżającego się od ulicy Tison jeźdźca, odzianego płaszczem.

Ciężki i mocny krok konia tętnił po kamieniach, a światło księżyca, bladawym promieniem, przedarło się przez chmury i oświeciło pióropusz kapelusza.

Jeździec ściągał cugle koniowi, który czując się powstrzymywanym w swej krewkości pieniał się mimo zimna.

— Tym razem — rzekł Quelus — to on!

— Niepodobna — mówił Mongiron.

— Dlaczego?

— Bo jest sam, a zostawiliśmy go z Livaretem, Entraguesem i Ribeirakiem, którzy nie pozwoliliby mu samemu się narażać.

— Ależ to on; czy nie poznajecie jego donośnego chrząkania?... Dobrze, że sam.

— W takim razie to wygląda coś na zasadzkę — rzekł d'O.

— Jakkolwiek bądź wygląda, do broni!

W rzeczy samej, był to Bussy wyjeżdżający z ulicy Ś-go Antoniego i udający się drogą, jaką mu Quelus poradził.

Mimo przestrogi pana de Saint-Luc, nie pozwolił przyjaciółom towarzyszyć sobie.

Pułkownik był spragniony przygód.

— Jestem szlachcicem; ale mam serce cezara i niema w historii rzymskiej czynu, którego bym chętnie nie naśladował.

Prócz tego, Bussy myślał, że pan de Saint-Luc, którego nie uważał za swego przyjaciela, ostrzegając, chciał go narażać na śmieszność, a Bussy więcej lękał się śmieszności jak niebezpieczeństwa.

Nawet u nieprzychylnych miał sławę walecznego

go i dla utrzymania jej, nieraz na najdziwniejsze narażał się przygody.

Jak bohater Plutarcha oddalił trzech towarzyszy; odesłałby nawet szwadron kawalerji i z założonemi rękami podszedłby ku domowi, w którym go czekał, nie uśmiech kochanki, ale list od królowej Nawarry, od królowej Margot, do której on sam udawał się zwykle nocą, aby uniknąć podejrzeń.

Przebył ulicę Augustjanów i wyjechał na ulicę S-go Antoniego, gdy jego oko wprawne i przenikliwe, dostrzegło owe cienie, których ksiązę Andegański zrazu nie dostrzegł.

Przytem, w prawdziwie mężnem sercu jest jakieś tajemne przecucie niebezpieczeństwa, które pobudza zmysły do działania.

Bussy policzył czarne cienie na murze.

— Trzech, czterech, pięciu — rzekł — nie licząc służących, których ukryli, a którzy na pierwsze zawołanie przybiegną.

Na honor, to za wiele na jednego; ale co robić?... poczciwy Saint-Luc nie zwodził i choćby mię przebili jak robaka, powiem mu: dziękuję ci za ostrzeżenie.

To mówiąc, posuwał się dalej; tylko jego prawa ręka igrała pod płaszczem ze szpada, a lewa nieznacznie odpięła haftkę.

W tej chwili Schomberg zawołał: „do broni!“ i kawalerowie powtórzywszy okrzyk uderzyli na Bussego.

— Tak, panowie — mówił szyderczo młodzieniec — chcecie zabić biednego Bussy! toż to zwierz, toż to dzik, na którego mieliście polować? — Dobrze panowie, ale dzik was porządnie porani, mogę za to ręczyć.



— Być może — rzekł Schomberg — ale panie Bussy d'Amboise, nie przystoi prawie do nas z konia, gdy my jesteśmy pieszo.

Ręka młodzieńca, ubrana w biały atlas, wychyliła się z pod płaszcza, rzuciła błyskawicę, a Bussy nie pojął co znaczyło to poruszenie i wziął je za pogrózkę.

Właśnie miał odpowiedzieć jak przywykł, gdy poczuł, że koń chwieje się pod nim.

Schomberg ze zręcznością sobie właściwą, której nieraz dał już dowody, rzucił ciężki sztylet, i przeciąwszy żyły w nodze koniowi, sił go pozbawił. Sztylet pozostał w ranie, jak nóż ogrodniczy w drzewie.

Zwierzę ciężko stęknęło i padło na kolana.

Bussy przygotowany na wszystko, zeskoczył na ziemię ze szpadą w ręku.

— A! nieszczęsny — zawołał — mój koń ulubiony!... drogo mi za to zapłacisz.

Ponieważ Schomberg uniesiony odwagą, nie mógł obliczyć uderzenia Bussego, jak nie można przewidzieć ukąszenia węża zwiniętego w kłębek, szpada Bussego przebiła goleń zapaleńca.

Schomberg krzyknął strasznie.

— A co, umiem dotrzymać słowa? — zawołał Bussy. — Trzeba było mierzyć we mniew w Bussy, a nie w konia mój panie.

I w mgnieniu oka, gdy Schomberg chustką obwiązywał ranę, Bussy w twarze i piersi napastników, godził swą szpadą, nie chcąc przywołać pomocy i uważając to za niegodne siebie.

Tylko obwinąwszy rękę płaszczem, aby mu służył za puklerz, starał się dostać do muru, aby go z tyłu nie wzięto.

W mgnieniu oka, zadawał razy i w ciemności czuł je tylko po oporze ciała.

Naraz osłabł i machinalnie spojrział w dół; ta chwila dostateczną była dla Quelusa, aby ugodzić Bussego.

— Pchnięty! — zawołał Quelus.

— Tak, ale w płaszcz — odpowiedział Bussy, nie chcąc się zdradzić ze swoją raną.

I poskoczywszy ku Quleusowi, tak mocno w jego szpadę uderzył, że wypadła mu z ręki — przecież zwycięstwo było jeszcze wątpliwe, bo d'O, d'Epernon i Maugiron z nową natarli siłą.

Schomberg zawiął ranę, Quelus podniósł szpadę i wszyscy na nowo obskoczyli Bussego; czuł że nie można tracić ani sekundy, tylko jak najprędzej cofać się do muru.

Zrobił skok w tył; wkrótce znowu go szpady dosięgły, a więc drugi, równie silny i zręczny i był już przy murze.

Tutaj dopiero, jak Achilles, lub Roland, uśmiechnął się do błyskawic mieczów.

Nagle poczuł pot na czole i mgła zakryła mu oczy.

Zapomniał o ranie, a tymczasem symptomy omdlenia zaczęły się objawiać.

— A! osłabłeś — zawołał Quelus podwajając natarcie.

— Patrzaj więc — odpowiedział Bussy. I odbiwszy szpadę, uderzył go w skroń.

Quelus upadł na ziemię.

Wściekły jak rozjuszony odyniec, gdy się psom wywinie, krzyknął przeraźliwie i poskoczył naprzód.

D'O i d'Epernon cofnęli się.

Maugiron podniósł Quelusa, i podtrzymał go.

Bussy nogą złamał szpadę ostatniego i w ramię ranił d'Epernona.

Już Bussy był zwycięscą, gdy Quelus powstał i Schomberg wystąpił w szranki.

Cztery miecze zabłyśły na nowo.

Bussy powtórnie uczuł się zgubionym.

Znowu zebrał siły, aby się dostać do muru.

Zimny pot na czole, głucho tętnienie w uszach i pomroka w oczach, objawiły zupełne osłabienie.

Lewą ręką zacząć szukać muru, dotknął go i chłód nieco go orzeźwił.

Nagle mur ustąpił.

Była to brama otworzona przez przyjaciela księcia Andegaweńskiego.

W. Gajewski — szp. 13.

Wstąpiła weń nowa nadzieja; długo odpierał razy, wreszcie cofnął się w tył i ramieniem pchnął bramę.

Tu był już bezpieczny.

Przez szczeliny widział swych groźnych nieprzyjaciół; słyszał, jak szpadami bili w bramę i kłeli, nakoniec, zdało mu się, że ziemia z nimi się zapada, później, że ciemność i milczenie grobowe otacza go dokoła.

### ROZDZIAŁ III.

#### JAK MOŻNA ROZRÓŻNIĆ MARZENIA OD RZECZYWISTOŚCI

Bussy zanim upadł na ziemię, zdołał chustką osłonić ranę i obwiązać ją pasem od szpady, lecz wyczerpany wpływem krwi, popadł w omdlenie.

Umysł jego był poruszony gniewem i cierpie-

niem; w omdleniu, niby już w przedsionku śmierci, widział, lub marzył, że widzi, cudowne a nieprawdopodobne rzeczy.

Zdawało mu się, że jest w ozdobnym pokoju, z pięknymi sprzętami, obiciem i malowidłem na sklepieniu.

Snuły mu się przed oczyma osoby w rozmaitych postawach, trzymające kwiaty lub włócznie, które zdawały się wstępować jakimś tajemniczym sposobem na malowane sklepienie pokoju.

Pomiędzy dwoma oknami widniał portret niewiasty, jaśniejący światłem, tylko że ramy tego portretu, były jakoby odrzwia. Nieruchomy, leżąc na łóżku, pozbawiony sił ale mogący widzieć, patrzył na te osoby zaćmionem okiem i podziwiał uśmiechy niosących kwiaty, a drżał przed niosącymi włócznie.

Tak miał pomieszane myśli, że nie mógł rozpoznać, czy te osoby były mu znajome.

Nagle kobieta na portrecie wyszła z ram; prześliczna istota w białej, długiej sukni, w jakiej malują aniołów, z włosami spadającymi na ramiona, z oczami czarnymi jak heban, z brwiami, w kształtny łuk zgiętymi, z ciałem, w którym dojrzećby można krew płynącą, postąpiła ku niemu. Ta niewiasta była tak piękna, że Bussy zapragnął upaść jej do nóg.

Zdawało mu się jednak, że jakieś więzy przykuwają go do łóżka, jak umarłego do grobu i że dusza jego wzgardziwszy ziemią, wznosi się w niebo.

Na widok tej niewiasty, osoby na sklepieniu przestały zajmować Bussego — piękność z portretu wystarczała mu i chciał tylko widzieć, czy w ramach pozostała próżnia.

Mgła jednak, zaciemniająca mu wzrok, nie po-

zwoliła dojrzeć wszystkiego dokładnie; zwrócił więc całą uwagę na tajemniczą osobę i zaczął jej płynnie powtarzać wiersz przez siebie ułożony.

Nagle niewiasta znikła; jakaś postać z zawiązanymi jak w ślepej babce oczyma stanęła pomiędzy nią a Bussym i wyciągnęła doń ręce.

Rannego taka wściekłość opanowała, że gdyby był panem swej woli, byłby się rzucił na to zjawisko; próbował nawet, lecz siły mu nie dopisały.

Gdy silił się powtarzać, nowoprzybyły mówił:

— Jestem na usługi pani.

— Dobrze więc — odezwał się głos tak słodki, że w Bussym wszystkie fibry zadrżały — możesz zająć się swoim dziełem.

Bussy chciał się przekonać, czy owa kobieta z czarownym głosem, to była ta sama, co na portrecie... napróżno. Widział tylko przed sobą młodego i przyjemnego mężczyznę, który opatrywał mu ranę i kiedyniekiedy po pokoju się rozglądał.

— Czy go djabli nadali — pomyślał Bussy.

I chciał myśl swoją objawić choćby poruszeniem, ale nadaremnie.

— Pan jesteś raniony? — mówił młody człowiek.

Bussy chciał odpowiedzieć, lecz nie mógł. Jego oczy pływały w jakiejś mgle i tylko uczuł niby dotknięcie rozpalonego żelaza.

— Czy rana jest śmiertelna? — zapytał z boleścią łagodny głos kobiety.

— Nie umiem jeszcze powiedzieć — odrzekł młody człowiek — wiem tylko, że jest bezprzytomny.

To tylko zrozumiał i posłyszał szelest sukni odalającej się niewiasty.

Bussy nie mógł oznaczyć, jak długo był w om-  
dleniu.

Kiedy się ocknął, zimny wiatr twarz mu owie-  
wał, głosy chrapliwe i niezgodne wpadły do uszu.

Otworzył oczy, sądząc, że ujrzy obrazy ze skle-  
pienia, albo niewiastrę z portretu — próżne złudze-  
nie. Wszystko znikło. Po prawej jego stronie stał  
człowiek w szarem odzieniu, w fartuchu białym  
krwią poplamionym; na lewo zakonnik Augustja-  
nin z ulicy Temple, który podniósł mu głowę;  
wprost niego jakiś staruszek, szepcząc pacierze.

Błądzące oko Bussego spoczęło na murach  
przed nim się wznoszących i podniosło się dla zmie-  
rzenia ich wysokości; poznał wtedy Temple, stra-  
szną basztę, a nad nią ujrzał biały obłok, lekko po-  
złożony przez wschodzące słońce.

Bussy był poprostu na ulicy, albo raczej nad  
fosą, Temple otaczającą.

— Dziękuję, moi dobrzy ludzie — rzekł —  
żeście mię tutaj przynieśli; potrzebowałem powie-  
trza. Ale mogli mi go udzielić otworzywszy okna,  
a pozostawić na wygodnem, adamaszkowem łóżku.  
Nic to nie szkodzi, moi przyjaciele, mam ja tu, je-  
żeliście sami nie wzięli, czem opłacić wasze usługi.  
Bierzcie, bierzcie, moi przyjaciele.

— Ależ, zacny panie — rzekł rzeźnik — my-  
śmy cię tu nie przynosili wcale. Tu cię napotkali-  
śmy i tu jesteś.

— Cóż u licha! — rzekł Bussy — a młody le-  
karz gdzie się podział?

Obecni spojrzeli po sobie.

— To reszta nieprzytomności — rzekł Augu-  
stjanin i zwrócił mowę do Bussego.

— Moje dziecię, czy nie chcesz się wypowia-  
dać?

Bussy spojrział osłupiałemi oczyma.

— Niema tu lekarza, paniczu — rzekła stara. Jesteś tu sam, opuszczony i jak trup zimny. — Patrzaj, jak twoja postać wycisnęła się na śniegu.

Bussy spojrział wokoło, przypomniał sobie odebrany cios i ręką dotknął rany.

— To szczególne — powiedział.

Obecni, korzystając z pozwolenia, podzielili się kiesą, dając znaki zadowolenia.

— A teraz — ciągnął Bussy, gdy skończono podział — odprowadźcie mnie do domu.

— Zapewne, zapewne — szeptała stara — rzeźnik jest mocny, a przytem ma konia.

— Czy tak? — zapytał Bussy.

— Na chwałę Boga — odrzekł rzeźnik; — i ja i mój koń jesteśmy na twoje usługi, mój panie.

— Mój synu — odezwał się mnich — nic nie zaszkodzi jeżeli się wypowiedasz.

— Sądzę, że jeszcze nie umrę — odpowiedział Bussy. Bardzo mi zimno i pragnę rozgrzać się w moim pałacu.

— A jak się nazywa twój pałac?

— Pałac Bussego.

— Jakto! pałac Bussego? — zawołali obecni.

— Tak, i cóż w tem dziwnego?

— Więc pan należysz do pana de Bussy?

— Ja sam nim jestem.

— Bussy! — zawołano — pan de Bussy, waleczny Bussy, bicz na ulubieńców; — niech żyje Bussy!

I na ramionach został zaniesionym do swego pałacu.

Przybywszy do domu, kazał przywołać swego chirurga, który ranę znalazł bardzo lekką.

— Powiedz mi — rzekł Bussy — czy ta rana była opatrzona?

— Nie inaczej — odrzekł lekarz — mimo to, zdaje się świeża.

— A czy jest tak poważną, aby mogła wywołać maligné?

— Zapewne.

— Cóż u licha! — mówił Bussy. — To obicie, te malowane sklepienie, adamaszkowe łóżko, piękna kobieta i ten jej portret, a nadewszystko ten młody człowiek z zawiązanymi oczami, to wszystko niepojęte.

Tak, to urojenie — lecz biłem się z ulubieńcami? Niezawodnie na placu Bastylji, wprost ulicy Św. Pawła — opierałem się o mur, w murze były drzwi i szczęściem otworzyły się... Schroniłem się za nie i zatrzasnąłem za sobą. Zresztą, nic nie pamiętam aż do przebudzenia. Czy byłem przytomny, czy marzyłem, to pytanie? A mój koń? powinni go znaleźć na placu. Doktorze, zawołaj mi kogo.

Doktor przywołał lokaja.

Bussy dowiedział się, że koń skrwawiony przyczołgał się przed stajnię i tam go znaleziono nade dniem.

Ludzie kochający go, natychmiast udali się na poszukiwanie pana i nawet dotąd nie powrócili.

— Więc tylko portret pozostaje dla mnie zagadką — mówi Bussy. — Cóż za niepodobieństwo aby portret zeszedł z ram i rozmawiał z lekarzem, który miał zawiązane oczy. Na honor, chyba zmysły straciłem...

— A jednak, o ile sobie przypominam, to śliczny był portret.

Tu Bussy zaczął przypominać szczegóły piękności, i w miarę jak je wyliczał, jakieś rozkoszne dreszcze go przechodziły.



— Czy ja marzyłem, gdy lekarz opatrywał mi ranę? To niepodobna, takich snów się nie miewa.

Rozważywszy wszystko raz jeszcze, po raz setny zaczął powtarzać:

— Byłem na balu: Saint-Luc mię ostrzegął, że będą na mnie czatować. Byłem z Anraguetem, Ribirakiem i Livarotem, pożegnałem ich, udałem się około wielkiego Chatelet i t. d. Przy pałacu Tournelles, spostrzegłem ludzi, którzy czekali. Rzucili się na mnie i skaleczyli mi konia. Biliśmy się zacięcie, nareszcie wszedłem do jakiegoś domu i później... A! później; to gorączka, odurzenie, sen...

— A później — dodał z westchnieniem — przebudziłem się nad fosą, gdzie Augustjanin chciał mię spowiadać.

— Wszystko jedno — dodał po chwili zbierając myśli. — Doktorze, może z piętnaście dni nie będę mógł wychodzić, jak to było ostatnim razem?

— Zobaczymy; czy pan możesz się przejść?

— Zdaje mi się, że żywe srebro mam w nogach.

— A więc spróbuj.

Bussy zeskoczył z łóżka i dosyć lekko przeszedł po pokoju.

— Można chodzić — rzekł lekarz — byleś pan nie jeździł konno.

— Wybornie! — zawołał Bussy — to mi lekarz, ale ja innego dzisiaj w nocy widziałem. Tak, jego postać mam wrytą w pamięci i pieklebym go poznał.

— Mój panie — odezwał się lekarz — nie radzę ci go szukać, bo to gorączka zwykła po ranie, a musisz to znać, bo nie pierwszy to raz jesteś raniony.

— Ach!.. mój Boże, zawołał nagle Bussy, nową uderzony myślą, bo myślał tylko o nocnych wypadkach. — Czy mój sen zaczął się przed bramą, czy za bramą?... Czy nie byłem w pięknym apartamencie i nie

widziałem w nim portretu?... Czy to ci rozbójnicy, uważając mnie za nieżywego, zanieśli do fossy?... Nie, to być nie może ja to wszystko zbadam.

— Panie — przerwał lekarz — jeżeli chcesz prędko wyzdrowieć, trzeba unikać wzruszeń.

— Saint-Luc postąpił ze mną po przyjacielsku i jemu należą się pierwsze moje odwiedziny.

— Byle nie przed wieczorem — mówił lekarz.

— Niech i tak będzie; zaręczam ci, że ruch i towarzystwo sił mi dodadzą.

— Być może; pan szczególniejszym jesteś chorym; rób co ci się podoba, ale nie radzę drugiej rany, zanim się ta zagoi.

Bussy przyrzekłszy lekarzowi uniknąć spotkań, kazał zaprządz do powozu i udał się do pałacu Montmorency.

## ROZDZIAŁ IV.

### JAK PANNA DE BRISSAC, ALBO RACZEJ PANI DE SAINT-LUC PRZEPĘDZIŁA NOC PO ŚLUBIE,

Pięknym kawalerem i walecznym rycerzem był Ludwik de Clermont, bardziej znany pod imieniem Bussy d'Amboise, którego Brantome, jego krewny, stawia w rzędzie najwaleczniejszych wodzów XVI-go wieku chociaż umarł nie mając lat trzydziestu.

Nikt oddawna równych jemu nie dokonał czynów.

Królowie i księżęta starali się o jego przyjaźń; królowie i księżęta przesyłali mu słodkie uśmiechy.

Bussy po La Molu dostąpił łaski Małgorzaty Nawarskiej, która mając serce czułe, po tragicznym zgonie La Mola potrzebowała pociechy. Poppełniła ona dla Bussego tyle niedorzeczności, że jej mąż Hen-

ryk, zwykle pobłażający i książę Franciszek, brat, nie umiejący przebaczać nieraz mocno to odczuli i tylko z potrzeby znosili Bussego.

Mimo powodzeń w boju, i szczęścia w miłości, Bussy, rzec można, nie znał ludzkich słabości, a jak nie wiedział, co to jest lękać się, nie rozumiał także, co to jest kochać.

To serce Cezara jak je sam nazywał, które biło w szlacheckiej piersi, było dziewicze i czyste, podobne do djamentu, którego ręka jubilera nie tknęła.

Henryk III-ci ofiarował mu swoją przyjaźń; lecz Bussy odrzucił ją mówiąc, że przyjaciele królewscy są często lokajami, a nawet i gorzej.

Henryk III-ci w milczeniu znosił, że Bussy obrał swym panem księcia Franciszka.

Prawda, książę o tyle był panem Bussego, o ile właściciel menażerji jest panem lwa.

Bussy znał dobrze Franciszka, ale ta rola była mu dogodną.

Na wzór Rohana, który mówił: królem być nie mogę, księciem nie chcę, jestem więc Rohanem, — Bussy przybrał za prawidło: nie mogę być królem, ale książę Andegaweński być nim może; będę więc królem księcia Andagaweńskiego.

I w rzeczy samej był nim.

Gdy ludzie pana de Saint-Luc spostrzegli Bussego, pobiegli uwiadomić pana de Brissac.

— Czy pan de Saint-Luc jest w domu, zapytał Bussy.

— Niema panie — odpowiedział odźwierny.

— Gdzie go znajdę?...

— Nie wiem panie, właśnie wszyscy w pałacu są niespokojni o niego, bo nie powrócił od wczoraj.

— Od wczoraj? — powtórzył Bussy.

— Jak panu już powiedziałem.

— A pani?...

— Pani, to co innego.

— Czy jest u siebie?...

— Jest.

— Proszę oświadczyć jej, że chcę złożyć moje uszanowanie.

W pięć minut powrócił posłaniec, prosząc pana de Bussy.

Joanna de Cossé wyszła naprzeciw młodego człowieka, aż do połowy bawialnego pokoju.

Była blada, a czarne włosy nadawały jej twarzy kolor z żółkłej kości słoniowej.

Oczy miała zaczerwienione z bezsenności a na twarzy można było dopatrzeć ślady łez.

Bussy, któremu ta bladość wywołała uśmiech i który gotował stosowny do okoliczności komplement, zatrzyma swoją wymowę, na widok prawdziwej boleści.

— Witam pana, panie de Bussy — mówiła młoda mężatka, ale niewiem, czy pańska obecność nie sprawi mi boleści.

— Co to ma znaczyć?... — zapytał Bussy — dlaczegoż moja osoba ma boleść zwiastować?

— Zapewne tej nocy przyszło do spotkania pomiędzy panem, a moim mężem?

— Pomędzy mną a panem Saint-Luc?... — powtórzył zdziwiony Bussy.

— Tak panie, kazał mi się oddalić gdy z tobą mówił — pan należysz do księcia Andegaweńskiego, on zaś do króla. Zapewne poróżniliście się panowie; panie Bussy, nie ukrywaj pan nic przedemną. Pojmujesz moją niespokojność, powiedz zatem co przytrafiło się memu mężowi?

— Pani — odrzekł Bussy — to dla mnie jest nie-

pojęte. Sądziłem, że mię zapytasz o moją ranę a ty mię pytasz o męża.

— A więc Saint-Luc ranił pana? a więc bił się z tobą!... — zawołała Joanna.

— Bynajmniej, on nie bił się z nikim przynajmniej nie ze mną; pocziwy Saint-Luc, Bogu dzięki, że nie z jego ręki jestem raniony. Owszem, on dla mego ocalenia, co mógł, to uczynił.

Musiał ci nawet pani powiedzieć, żeśmy się zesłi jak Damon i Pitias.

— On? nie widziałem go potem.

— A więc co mówił odźwierny, to święta prawda?

— Cóż mówił?

— Że od wczoraj niema pana Saint-Luc.

— I pan nie widziałeś mego męża?

— Bynajmniej.

— Gdzie on być może?

— Ja sam chciałem o to zapytać.

— Powiedz mi pani wszystko, bo na honor, to zakrawa na śmieszność.

Biedna kobieta spojrzała na Bussego z podziwieniem.

— Co do mnie — mówił Bussy, wiele upłynęło mi krwi i straciłem przytomność. A teraz opowiedz mi pani smutną swoją historję. Joanna opowiedziała, że z rozkazu Henryka III-go, pan Saint-Luc towarzyszył mu do Luwru i że po zamknięciu bram odprawiono służących, którzy nań czekali.

— A teraz rozumiem — rzekł Bussy.

— Jakto?... — zapytała Joanna.

— Skoro Jego królewska mość wziął z sobą pana Saint-Luc, nie chciał go wypuścić.

— A to dlaczego?

— Hm!... — rzekł Bussy — pani żądasz abym ci odkrył gabinetowe tajemnice.

— Ale — mówiła młoda mężatka, ja i mój ojciec byliśmy w Luwrze.

— Cóż z tego?

— Straże nam odpowiedziały, że pan Saint-Luc wyszedł i powinien być w domu.

— Niezawodnie jest w Luwrze.

— Tak sądzisz pan?

— Jestem tego pewny i pani możesz się przekonać.

— Jakim sposobem?

— Sama.

— Czy podobna!

— Nie inaczej.

— Skoro przyjdę do pałacu, powiedzą to samo, co pierwej. — „Gdyby był, dlaczegoż nie mogłabym go widzieć?”

— Czy pani chcesz być w Luwrze?

— Poco?

— Aby się widzieć z mężem.

— A jeśli go niema?

— Mówię, że jest.

— To szczególne.

— Bynajmniej.

— A pan, czy możesz wejść do Luwru?

— Dla czegożby nie? nie jestem żoną pana Saint-Luc.

— Jakże więc wejść? wszak jestem żoną pana Saint-Luc.

— Ja wcale żony wprowadzać nie myślę; kobietę!... a! broń Boże!

— Pan ze mnie żartujesz, widząc moją boleść; to okropne...

— Nie pani, uważaj tylko; masz lat dwadzieścia, jesteś wysoka, szczupła i możesz być podobna do pa-

zia. Pojmujesz pani? możesz wyglądać jak owe chłopcy w złotych lamach.

— Co za myśli! Panie Bussy — zawołała rumieniąc się Joanna.

— Innego nie mam sposobu — zostawiam to do twojej woli. — Czy pani chcesz widzieć męża?

— Wszystkobyem za to oddała.

— A ja pani darmo ułatwię widzenie.

— Jakim sposobem?

— Powiedziałem już.

— Ale panie Bussy, pod tym tylko warunkiem, że przyślesz mi suknie, a ja paziowi odeślę je przez moją służącą.

— Nie potrzeba. — Suknie są u mnie, wybiorę z nich najprzydatniejszą, przyślę pani, a ty zejdziesz się ze mną w umówionem miejscu, naprzykład przy ulicy świętego Honorjusza i stamtąd...

— Stamtąd?

— Udamy się prosto do Luwru.

Joanna roześmiała się i podała rękę Bussemu.

— Przebac pan moje podejrzenie, rzekła.

— Najchętniej — pani dostarczasz mi przygody, z której wiele osób będzie się śmiało. Owszem, to ja pani jestem obowiązany.

I pożegnawszy młodą mężatkę, udał się do siebie, aby przygotować przebranie.

Wieczorem, o umówionej godzinie, Bussy i pani Saint-Luc spotkali się przy rogate Sierżanckiej.

Gdyby nie miała znanej sukni pafia, Bussy nie byłby ją poznał.

Prześlicznie wyglądała w tym stroju.

Oboje, pomówiwszy z sobą, udali się do Luwru.

Na rogu ulicy Fosses Saint-Germain l'Auxerois spotkali liczną kompanję; orszak ten zajął całą ulicę i zatamował przejście.

Joanna stworzyła się — Bussy po pochodniach i kuszach, poznał księcia Andegaweńskiego, którego oprócz tego, można było poznać po srokatym koniu i płaszczu białym, aksamitnym.

— A!... — rzekł Bussy zwracając się ku Joannie mój paziu, kłopotaleś się jak wejść do Luwru, bądź teraz spokojny, wejdiesz triumfalnie.

— Jaśnie oświecony książę!... — zawołał z całych piersi Bussy na księcia Andegaweńskiego.

Głos przebiegł przestrzeń i mimo tętnienia koni i gwaru ludzi, doszedł do księcia.

Książę odwrócił się.

— A! to ty Bussy — zawołał uradowany, sądziłem, żeś śmiertelnie ranny i leżysz pod „Rogiem jelenia“ przy ulicy Grenelle.

— Na honor, książę — mówił Bussy nie zważając na grzeczne powitanie, jeżeli nie zginąłem to tylko sobie zawdzięczam. Wasza książęca mość wystawiasz mię na niebezpieczne zasadzki i pozostawiasz w najprzykrzejszem położeniu. Wczoraj na balu u Saint-Luca, prawdziwy był rozbój. O mało wszystkiej krwi ze mnie nie wytoczyli.

— Na honor, Bussy, za każdą kroplę krwi twojej drogo mi zapłacą.

— Pójdź ze mną do Luwru, a zobaczysz.

— A jednak Wasza królewska mość uśmiechniesz się do pierwszego, którego spotkasz.

— Cóż zobaczę?

— Jak powiem mojemu bratu.

— Mości książę, nie chcę być obecnym naigraniamiom.

— Bądź spokojny, ja to wzięłem do serca. Przyrzekam ci, że będziesz zadowolony. No i cóż, wahasz się?

— Znam Waszą książęcą mość.



— A ja ci mówię pójdź...

— Dobrze idzie sprawa — szepnął Bussy hrabini. — Pomiędzy braćmi znajdzie mała sprzeczka, a pani tymczasem zobaczysz męża.

— No i cóż, czy trzeba abym ci dał książęce słowo?

— O! to zbytuczne; ubliżyć sobie sam nie pozwolę.

I Bussy stanął obok księcia, a młody paź tuż za nim.

— O! nie mój waleczny Bussy, ja zemstę biorę na siebie. Słuchaj — rzekł półgłosem — znam napastników.

— Wasza książęca mość raczyłeś się o nich dowiedzieć?

— Widziałem ich.

— Jakim sposobem? — zapytał Bussy zdziwiony.

— Miałem interes przy bramie Ś-go Antoniego, spotkali mnie i mało za ciebie nie zabili. Domyśliłem się, że to na ciebie rozbójnicy czatują.

— I...

— Czy miałeś z sobą twojego pazia? — zapytał książę, chcąc zwrócić mowę na co innego.

— Nie — odrzekł Bussy — byłem sam, jak Wasza książęca mość.

— Ja byłem z Aurillym; a dlaczegóż sam byłeś?

— Ponieważ chcę zachować swą opinię walecznego.

— I raniono cię? — zapytał książę.

— Nie chciałbym sprawić im radości, ale porządne dostałem pchnięcie.

— A! zbrodniarze!... — zawołał książę — d'Aurilly dobrze mówił, że jakieś złe mają zamiary.

— Jakto, Wasza książęca mość widziałeś za-

sadzkę, byłeś księżem z Aurillym, który tak dobrze włada bronią? jak to, byliście we dwóch i nie daliście pomocy?

— Nie wiedziałem na kogo była zasadzka.

— A! cóż u licha, jak mówił Karol IX-ty; poznawszy przyjaciół Henryka III-go, można było przecież sądzić, że czatują na kogoś z twoich przyjaciół, Mości księżu. Że zaś tylko ja mam odwagę być Waszej księżęcej mości przyjacielem, snadnie odgadnąć, że na mnie.

— Masz słuszność, mój drogi Bussy — odrzekł Franciszek — ale nie przyszło mi to na myśl.

— I koniec! westchnął Bussy, jakby nie mógł znaleźć innego wyrazu, myśli o swoim panu.

Przybyli do Luwru; księcia Andegaweńskiego przyjął w bramie kapitan i odźwierni.

Straże były mocne, lecz jak pojąć łatwo, nie dla pierwszego w królestwie po panującym.

Księżę z całym orszakilem wszedł pod arkady zwodzonego mostu.

— Mości księżu — rzekł Bussy widząc się na honorowym dziedzińcu — pamiętaj o twojem przyrzeczeniu. Ja tylko pomówię z pewną osobą.

— Jako opuszczasz mię! — rzekł niespokojnie księżu, który nieco liczył na swego dworzanina.

— Muszę; ale natychmiast powracam. Zawołaj Mości księżu, a stawię się...

Korzystając z wejścia księcia do wielkiej sali, wśliznął się wraz z Joanną do innych apartamentów.

Bussy znał Luwr jak swój własny pałac.

Przebywszy ukryte schody, dwa albo trzy puste korytarze, przybył do pewnego rodzaju przedpokoju.

— Zaczekaj tu pani — rzekł do Joanny.

— Pan mię samą zostawiasz? — rzekła strwożona hrabina.

— Muszę postarać się o ułatwienie wejścia.

Bussy udał się prosto do gabinetu broni, który lubił bardzo Karol IX, a który Henryk III zmienił na pokój sypialny.

Karol XI-ty, król myśliwy, kowal, poeta, w tym pokoju miał rogi, kusze, manuskrypta, książki i szrubsztaki.

Henryk III-ci, miał tu aksamitne łóżko, lubieżne malowidła, kosmetyki, różańce i rzadki zbiór rapirów.

Bussy wiedział, że króla niema w tym pokoju, bo bratu daje posłuchanie; wiedział także że przy tym pokoju jest pokój mamki Karola IX, obrócony teraz dla ulubieńców Henryka.

Ze zaś król zmiennym był w swoich afektach, pokój ten należał z kolei do Maugirona, Quelusa, d'O, d'Epernona i Schomberga a w tej chwili, jak sądził Bussy, należeć musi do pana Saint-Luc, dla którego król tak wielką uczuł miłość, że go zabrał od żony.

Dla Henryka III-go, człowieka rzadkiej organizacji, bojaźliwego, chełpliwego, znudzonego, niecierpliwego, zamyszonego, wiecznie potrzeba było rozrywki.

W dzień: hałasu, igrzysk, ćwiczeń, maskarad i intryg; w nocy zaś plotek, modlitwy, albo rozputy.

Charakter Henryka był w swoim rodzaju jedyny, jakiego trudno napotkać.

Powinien on być urodzić się raczej na wschodzie, wśród milczących poddanych, niewolników i eunuchów, a panowanie jego zaznaczyłoby epokę pośrednią pomiędzy Neronem, a Heliogabalem.

Bussy, sądząc, że Saint-Luc zajmuje pokój mamki, zapukał do przedpokoju, wspólnego obu mieszkaniom.

Kapitan służbowy, otworzywszy, zawołał zdziwiony:

— Pan de Bussy!

— Ja sam, panie de Nancey — rzekł Bussy — król chce mówić z panem de Saint-Luc.

— Dobrze — odpowiedział kapitan — trzeba o tem pana Saint-Luc uwiadomić.

Przez wpeł otwarte drzwi paź mógł zapuścić wzrok do pokoju.

— Cóż robi biedny Saint-Luc? — zapytał Bussy.

— Gra z Chicotem, czekając, zanim król udzieli posłuchania księciu Andegaweńskiemu.

— Czy pan pozwolisz, aby mój paź tu zaczekał? — zapytał Bussy kapitana.

— Najchętniej.

— Wejdz, Janie — rzekł Bussy do hrabiny i ręką wskazał jej okno, przy którym miała stanąć.

Zaledwie umieściła się tam, gdy Saint-Luc wszedł.

Przez grzeczność pan Nancey oddalił się nieco.

— Czego król żąda? — zapytał Saint-Luc tonem cierpkim. A! to ty, panie de Bussy?

— Ja sam, dobry Saint-Luc, przedewszystkiem...

I zniżył głosu.

— Przedewszystkiem winienem ci podziękować za wyświadczoną mi przysługę.

— Przykroby mi było — odrzekł Saint-Luc — wiedzieć, że tak waleczny mąż poległ.

— Sądziłem, że zginąłeś.

— O mało, że nie, ale...

— Jakto?

— Tak, za niewielką ranę, odpłaciłem z procentem Schombergowi i d'Epernonowi. Co zaś do

Quelusa, powinien być wdzięczny twardości swojej czaszki. Nie widziałem w mojem życiu podobnej.

— Opowiedz mi twoją przygodę — mówił Saint-Luc, ziewając — to mnie nieco rozerwie.

— Teraz nie mam czasu, mój drogi; prócz tego, poco innego przyszedłem. Jak widzę, bardzo się nudzisz.

— Po królewsku.

— A więc przyszedłem cię zabawić; piękne za nadobne.

— Bardzom ci wdzięczny, bo z nudów, równie jak od szpady umierać można; nawet pierwszy srodek, chociaż powolny, pewniejszy.

— Biedny hrabio — mówił Bussy — zatem jesteś więźniem?

— Więcej jak więźniem; zaiste król jest bardzo łaskawy, bo od wczoraj więcej się nakrzywiłem jak jego małpa i więcej mu zrobiłem niegrzeczności, jak jego trefniś.

— A więc mój drogi, cóż mogę uczynić dla ciebie?

— Udaj się do marszałka de Brissac i uspokój moją biedną żonę, którą zadziwiać musi moje postępowanie.

— Cóż jej powiem?

— Powiedz jej, że mię widziałeś, że król szczególniejszą zaszczyca mnie przyjaźnią i dlatego uwięził; że więcej mówi mi o przyjaźni, jak Cyceron, a o cnocie więcej, jak Sokrates.

— A ty, co mu odpowiadasz? — zapytał Bussy z uśmiechem.

— Mówię, że pod względem przyjaźni jestem niewdzięcznikiem, a pod względem cnoty najgorszym; to wszystko nie przeszkadza, aby mi powtarzał: A! Saint-Luc. więc przyjaźń jest urojeniem!...

Więc cnota, to tylko czcze słowo! Toż samo mówi po łacinie i po grecku.

W tej chwili paż, którego Saint-Luc dotąd nie zauważył, roześmiał się na głos.

— I cóż chcesz, mój drogi? „bis repetita placet“ mówi Bussy; ale cóż mogę dla ciebie uczynić?

— Sam nie wiem; mam jedną myśl, ale...

— Spodziewałem się tego, co zaszło i naprzód wszystko powiedziałem twej żonie.

— Cóż ona na to?

— Naprzód nie chciała wierzyć. — Lecz — dodał, zwracając się ku oknu — musiała uleść konieczności. Żądaj co chcesz, nawet niepodobnych rzeczy, miło mi będzie popracować dla ciebie.

— A więc, mój Bussy, dostań mi skrzydlatego konia, na którymbym mógł wyjechać oknem i udać się do mojej żony.

— Prościej będzie podać bieguna twej żonie, aby przyjechała do ciebie — odrzekł Bussy.

— Tu?

— Tak, tutaj.

— Do Luwru?

— Do Luwru. — To będzie jeszcze pocieszniej.

— I ja tak sędzę.

— A nie będziesz się nudził?

— Na honor, nie.

— Ale nudziłeś się?

— Zapytaj Chicota. Od wczoraj rano wściekałem się na niego i wyzwałem go, wystaw sobie, śmiał się w najlepsze; a ja chętniebym go zabił, choćby dla rozerwania myśli.

— Daj pokój; potem nudziłbyś się jeszcze o-kropniej.

— Ja sam nie wiem, co robić.

— Może chcesz, żebym ci pazia zostawił? —  
rzekł Bussy z uśmiechem.

— Mnie?

— Tak, śliczny chłopiec.

— Dziękuję ci, nie lubię paziów; król pozwolił mi przywołać którego z moich, ale mu podziękowałem. Ofiaruj go królowi, może będzie zeń kontent. Co do mnie, wolę, aby mi służyły kobiety.

— A ja ci go pożyczę — rzekł Bussy.

— Mój drogi — odparł Saint-Luc — wcale nie pora do żartów.

— Zastanów się.

— Mówię ci, będziesz zadowolony.

— Nie, nie, sto razy nie...

— Paziu, proszę do mnie — zawołał Bussy.

— Na Boga! — mówił Saint-Luc.

Paź odstał od okna i zbliżył się zarumieniony.

— Na Boga! — mówił Saint-Luc osłupiały, poznając Joannę.

— No i cóż?... — zapytał Bussy — mam go wziąć z sobą?...

— O!... nie, nie — mówił Saint-Luc — winie-  
nem ci dozgonną przyjaźń.

Pan de Nancey zdziwiony gościami Saint-Luca, zaczął podsłuchiwać, gdy ruch w sali oderwał jego uwagę.

— Ach!... mój Boże!... — zawołał Nancey —  
król się gniewa na kogoś.

— Jak sądzę na księcia Andegaweńskiego,  
z którym przybyłem.

Kapitan poprawił szpadę u boku i udał się  
w stronę, z której hałas dochodził.

— Powiedz, że źle uczyniłem?... — mówił Bus-  
sy, zwracając się do pana Saint-Luc.

— Co tam takiego?... — zapytał ostatni.

— Jak sądzę, król kłóci się z księciem Andegaweńskim; musi to być cudowny widok i biegnę, aby nic z niego nie stracić. Ty, przyjacielu, korzystaj z chwili i ukryj pięknego pazia.

— Muszę o tem pomyśleć.

— A zatem dowidzenia.

Bussy kontent, że Henrykowi III-mu figla wyplątał, wyszedł z pokoju i udał się na galerję, gdzie król zaczerwieniony z gniewu, rozprawiał z księciem Andegaweńskim, bladym ze złości.

— Zapewniem cię, Najjaśniejszy panie — mówił książę Andegaweński — że d'Épernon, Schomberg, d'O, Maugiron i Quelus czatowali na niego przy pałacu Tournelles.

— Kto ci o tem powiedział?

— Widziałem ich, na moje własne oczy widziałem.

— Pociemku?... wszak noc była czarna, jak piekło.

— Ja też nie po twarzach ich poznałem.

— Więc po ramionach?...

— Bynajmniej, Najjaśniejszy Panie: po głosie.

— Czy mówili z tobą?...

— Więcej jeszcze; wzięli mię za Bussego i opadli.

— Ciebie?...

— Tak, mnie.

— A co robiłeś przy bramie Ś-go Antoniego?...

— Cóż to kogo obchodzi?...

— Ja chcę wiedzieć... dzisiaj jestem ciekawy.

— Do żyda!...

— Szedłem do Manassessa.

— A ty, Najjaśniejszy Panie, nie chodzisz do czarownika, Ruggieri?...



— Chodzę, gdzie mi się podoba, wiesz, że jestem królem.

— To nie odpowiedź, Najjaśniejszy panie.

— Prócz tego, Bussy zachował się wyzywająco,

— Bussy?...

— Tak.

— Gdzie, kiedy?...

— Na balu u Saint-Luca.

— Bussy miałby pięciu wyzywać?... oh... nie, Bussy jest odważnym, ale nie szalonym.

— A ja ci powiadam, że sam słyszałem wyzwanie, prócz tego, dowód jasny, że mógł ich wyzywać, bo poranił Schomberga, d'Epernona i o mało nie zabił Quelusa.

— Nie mówił mi o tem, ale muszę mu podziękować.

— A ja nikomu dziękować nie myślę, tylko raz muszę skończyć z tym zawadką.

— A ja — rzekł książę — ja, którego napadają twoi przyjaciele, nie tylko w osobie Bussego, ale w mojej własnej, ja brat królewski, pierwszy w narodzie po królu, ja pokażę, czy kto będzie miał odwagę w oczy mi spojrzeć.

W tej chwili ukazał się Bussy, ubrany w zielony atłas, z haftami złotemi.

— Najjaśniejszy panie — rzekł, nisko się kłaniając — racz przyjąć moje uszanowanie.

— Przez Boga!... otóż i on — rzekł Henryk.

— Wasza królewska mość raczyłeś się mną zajmować?... — zapytał Bussy.

— Tak — odpowiedział król — i miło mi oglądać ciebie; twarz twoja odrycha zdrowiem.

— Najjaśniejszy panie, krwi puszczenie odświeża cerę i ja taką dzisiaj mieć powinienem.

— Kiedy tak, panie Busyy, skoro cię napadnięto, uskarż się, a sprawiedliwość wymierzę.

— Przebacz, Najjaśniejszy panie, nie pobito mię i skarżyć nie myślę.

Henryk osłupiał i spojrział na księcia Andegaweńskiego.

— Mówiłem, że Bussy został w bok pchnięty.

— Czy prawda, Bussy?... — zapytał król.

— Musi tak być, skoro brat Waszej królewskiej mości tak twierdzi; pierwszy ksiązę kłamać nie może.

— I odebrawszy pchnięcie — rzekł Henryk — nie skarżysz się?

— Nie skarżę się, Najjaśniejszy panie, bo dla zemsty mam jeszcze obie ręce; a gdyby mi prawą ucięto, jeszcze mściłbym się lewą.

— Zuchwały!... mruknął Henryk.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się ksiązę Andegaweński, — mówiłem o sprawiedliwości, zatem ją wymierz; oddaj sprawców pod sąd, wyznacz sędziów i każ wykryć prawdę.

Henryk zarumienił się.

— Nie, rzecz, tym razem wolę wszystkim przebaczyć. Wolę, aby ci zawzięci nieprzyjaciele pogodzili się i przykro mi, że Schomberg i d'Epernon ranieni. Mój bracie, któryż z moich przyjaciół był najwścieklejszy?... powiedz, wszak ich widziałeś.

— Zdaje mi się, że Quelus.

— Ja!... — odezwał się Quelus — nie taję się z tem, i Wasza wysokość dobrze widziałeś.

— Kiedy tak — rzekł Henryk — pan de Bussy i Quelus pogodzą się za wszystkich.

— Co to ma znaczyć, Najjaśniejszy panie? — zapytał Quelus.

— To znaczy, że macie się przy mnie uścisnąć.  
Quelus brwi zmarszczył.

— No i cóż? signor — rzekł Bussy do Quelusa, naśladowując akcent włoski, nie raczysz zrobić mi tego zaszczytu?...

Krok ten był niespodziewany i Bussy dopełnił go tak zręcznie, że król się roześmiał i zbliżywszy się do Quelusa, rzekł:

— Dalej, panie, król tego żąda.

— Sądzę, że to nie żadne zobowiązanie — mówił Quelus cicho do Bussego.

— Bądź pan spokojny — tym samym tonem odpowiedział Bussy. — Dziś, albo jutro znajdziemy się.

Quelus zaczerwieniony i z włosami w nieładzie, oddalił się.

Henryk zmarszczył brwi, a Bussy, mówiąc z włoska, pokłonił się także i wyszedł.

Przez to komiczne uściśnienie, śmiertelnego zrobił sobie wroga.

## ROZDZIAŁ V.

### JAK SIĘ KŁADŁ SPAĆ HENRYK III-ci.

Po scenie, zaczętej tragicznie, a skończonej jak komedja, którą echo rozniosło po mieście, król zagniewany, udał się do swego apartamentu, a za nim Chicot, któremu jeść się piekielnie chciało.

— Nie mam apetytu — rzekł król — przechodząc próg pokoju.

— Być może — odrzekł Chicot — ale, co ja, to wściekam się z głodu i kąsać jestem gotów.

Król jakby tego nie słyszał.

Odpiął płaszcz, położył na łóżku, zdjął kape-

lusz przypinany czarnemi śpilkami i rzuciwszy go na krzesło, postąpił ku korytarzowi, prowadzącemu do Saint-Luca.

— Czekaj mię trefnisiu — rzekł — zaraz powrócę.

— Nie śpiesz się, mój synku — odparł Chicot, nie śpiesz się — a skoro usłyszał, że Henryk się odala, dodał: dobrze, że mi dałeś czas.

A kiedy ucichło stąpanie — zawołał:

— Hola!

Lokaj przybiegł.

— Król zmienił rozkaz — powiedział — żąda wytwornej wieczerzy dla siebie i dla Saint-Luca. Zalecił przedewszystkiem wyborne wina. — Idź wykonaj zlecenie.

Lokaj odwrócił się, aby spełnić rozporządzenie, które uważał za rozkaz.

Henryk udał się, jak wiemy, do apartamentu Saint-Luca, który uprzedzony o jego odwiedzinach, położył się do łóżka i staremu służącemu kazał czytać modlitwy.

Na złożonem krześle, w rogu pokoju drzemał z zakrytą twarzą paź, którego Bussy przyprowadził.

Król wszystko objął jednym spojrzeniem.

— Co to za młodzieniec?... — zapytał.

— Wasza królewska mość pozwoliłeś mi przywołać pazia — odpowiedział Saint-Luc.

— Tak, tak — mówił Henryk III-ci.

— Korzystałem więc z pozwolenia twojego, Najjaśniejszy panie.

— Tak, tak — widzę.

— Czy Wasza królewska mość żałuje swego pozwolenia?

— Nie, nie mój drogi — i owszem, rozrywaj się, jak możesz. — Jakże twoje zdrowie?

— Mam silną gorączkę, Najjaśniejszy panie — odpowiedział Saint-Luc.

— W samej rzeczy, takiś czerwony. — Pokaż puls; wiesz, że znam się na medycynie.

Saint-Luc wyciągnął rękę z widocznem niezadowolaniem.

— Tak, tak — mówił król — puls nieregularny, pośpieszny.

— A! Najjaśniejszy panie, w rzeczy samej, bardzo jestem chory.

— Bądź spokojny, mój drogi, każę przyjść memu lekarzowi.

— Dziękuję, Najjaśniejszy panie.

— Sam cię będę doglądał.

— Najjaśniejszy panie, nie pozwolę, abyś...

— Każę sobie tutaj postawić łóżko, będziemy całą noc rozmawiali, bo mam wiele do powiadania.

— A!... — zawołał Saint-Luc z rozpaczą — mówisz Najjaśniejszy panie, że znasz się na medycynie, że jesteś moim przyjacielem, a spać mi nie dasz przez całą noc. Masz Najjaśniejszy panie szczególny sposób leczenia chorych i kochania twoich przyjaciół.

— Jakto! jesteś chory i chcesz pozostać sam?

— Najjaśniejszy panie, mam swojego pazia.

— Ale on śpi.

— Ja właśnie tak lubię, przynajmniej mnie spać nie przeszkadza.

— Więc pozwól mi z nim czuwać, nie będę mówił do ciebie, aż się obudzisz.

— Najjaśniejszy panie, w dziwnym jestem humorze po przebudzeniu i bardzo trzeba być przyzwyczajonym, aby mi moje niedorzeczności przebaczyć.

— Ale przynajmniej będziesz ze mną, zanim spać się położę...

— A potem mogę spać swobodnie?

— Najswobodniej.

— Zgadzam się: ale nie będziesz miał ze mną pociechy, Najjaśniejszy panie; jestem bardzo śpiący.

— Możesz sobie ziewać.

— A! szczęśliwi przyjaciele Waszej królewskiej mości — rzekł Saint-Luc z westchnieniem.

— A! prawda, Bussy mi ich porządnie pokaleczył. — Schomberg ma goleń przebitą, d'Épernon rękę skaleczoną, a Quelus po uściśnieniu przyjść do siebie nie może. Pozostał mi tylko d'O, który mię nudzi i Maugiron, który w zły humor mię wprawia. — No, dalej, budź twojego pazia i każ sobie podać szlafrok.

— Wasza królewska mość raczy mię zostawić samego na chwilę.

— A to dlaczego?

— Uszanowanie...

— No, no.

— Za pięć minut będę u Waszej królewskiej mości.

— Za pięć minut, dobrze, ale nie więcej, bo przyjdę po ciebie... przygotuj tam co do śmiechu.

Król na pół otrzymawszy, co żądał, i na pół pocieszony, wyszedł.

Zaledwie się drzwi zamknęły, aliści paż zerwał się na równe nogi i rzekł:

— A! mój drogi, jakże mnie możesz opuszczać ach! jakie męczarnie! Gdyby mnie poznano... umieram ze strachu!

— Moja najdroższa — odpowiedział Saint-Luc, wskazując na służącego—Kasper będzie cię strzegł.

— Może lepiej, abym się oddaliła — rzekła młoda kobieta, rumieniąc się.

— Jeżeli koniecznie żądasz Joanno — mówił Saint-Luc tonem smutnym, każę cię odprowadzić do pałacu Montmorency. Lecz jeżeli jesteś tak dobrą, jak się spodziewam, osłodziś smutne chwile twemu mężowi. Jestem tak cierpiący na głowę, nerwy i wnątrżności, że król nie zechce zatrzymywać smutnego towarzysza i zaraz mię odprawi.

Joanna spuściła oczy.

— Idź — rzekła — będę cię czekała; lecz powiem jak król: nie daj długo czekać na siebie.

— Joasiu, moja droga Joasiu — mówił Saint-Luc — powrócę jak będę mógł najprędzej. Prócz tego, mam jedną myśl, której ci za powrotem udzielię.

— Masz myśl... która cię uwolni?

— Spodziewam się.

— A więc idź.

— Kasper — rzekł Saint-Luc — nie pozwalaj wchodzić nikomu. Za kwadrans zamknij drzwi na klucz i przynieś mi go do króla. Następnie, powróć do pałacu i powiedz, aby byli spokojni o panią hrabinę. Jutro możesz tu przyjść.

Kasper przyrzekł wykonać rozkazy, uśmiechając się, a młoda kobieta słuchała zarumieniona.

Saint-Luc pocałował małżonkę w rękę i pobiegł do pokoju Henryka, który już się niecierpliwił.

Joanna sama i drżąca wśliznęła się za firanki łóżka i tam rozmyślała nad sposobem wydobycia się z przykrego położenia.

Kiedy Saint-Luc wszedł do królewskiego pokoju, ował go mocny i rozkoszny zapach. Henryk trzymał nogi na warstwie kwiatów, poobrywanych z łożdy, aby nie raziły delikatnej skóry monarszej: ja-

śminy, fijołki, goździki, mimo późnej pory roku, składały ów żywy kozbierzec pod stopy królewskie.

Pokój, którego sklepienie ozdobione było olejnymi malowidłami, miał, jakżeśmy powiedzieli, dwa łóżka, z których jedno tak szerokie, że zajmowało trzecią część sypialni.

Łóżko z obiciem złotem i jedwabnem, wyobrażającym historję Cenisą, pół mężczyzny, a pół kobiety, było dziełem imaginacji monarchy — kotara z lamy złotej, była ozdobiona herbami państwa.

W oknach, na meblach, błyszczała też sama, co na łóżku materja, w środku sklepienia, na grubym łańcuchu złotym wisiała lampa, która paląc się, wydzielala miły zapach.

Po prawej stronie łóżka, satyr złoty trzymał w ręku kandelabr, w którym gorzały cztery różane świece.

Świece te, duże jak kościelne, wraz z blaskiem lampy, dostatecznie oświecały pokój.

Król, trzymając bosc nogi na kwiatach, siedział na krześle hebanowem, inkrustowanem złotem i miał na kolanach sześć, czy siedem szczeniąt hiszpańskich, które mu lizały ręce.

Dwaj służący zawijali mu włosy, rozpuszczone jak kobiece, nadto muskali wąsy i brodę, rzadkie jedno i drugie.

Trzeci smarował twarz księcia jakąś maścią, która przyjemny zapach wydawała.

Henryk, zamknawszy oczy, poddawał się tym dziwactwom, jak bożek indyjski.

— Saint-Luc — mówił — gdzie jest Saint-Luc. Saint-Luc wszedł właśnie.

Chicot wziął go za rękę i przyprowadził przed króla.

— Masz — powiedział do Henryka — oto twój



przyjaciel Saint-Luc; każ mu się także wysmarować, bo jeżeli tego nie uczynisz, narazisz się na przykrość, bo albo ty zanadto będziesz pachniał dla niego, albo on będzie śmierdział dla ciebie.

I, usiadłszy wprost króla, znowu mówił:

— I ja się każę wysmarować.

— Chicot, Chicot!... — zawołał Henryk — twoja skóra za twarda i wiele potrzebowałyby maści, a tej i dla mnie za mało — włosy zaś masz tak twarde, żebyś poszczerbił moje grzebienie.

— Moja skóra stwardniała przy tobie niewdzięczny monarcho! że zaś moje włosy twarde, to także wina zmartwień a nie moja. Ale skoro mi maści mój synku odmawiasz...

Henryk wzruszył ramionami, jakby go dowcipy trefnisia nudziły.

— Daj mi pokój — rzekł — bajesz i bajesz.

I odwróciwszy się do Saint-Luca:

— Mój drogi, jakże twoja głowa?

Saint-Luc potarł czoło i westchnął.

— Wyobraź sobie — mówił dalej Henryk — widziałem Bussy d'Amboisse. Ach zmiłuj się — zwrócił się do fryzjera, — jakże mię pieczesz.

Fryzjer ukląkł.

— Widziałeś, Najjaśniejszy panie, Bussy d'Amboisse — rzekł drżący Saint-Luc.

— Tak — odpowiedział król — wyobraź sobie pięciu nie dało mu rady. Gdybyś ty tam był mój drogi.

— Może nie byłbym szczęśliwszy.

— Daj pokój: pójdę o zakład, że dziesięć dasz mu pchnięć, nim on ci da sześć... Musimy się jutro przekonać. Czy strzelasz zawsze mój drogi?

— Tak, Najjaśniejszy panie.

— Pytam, czy się ćwiczysz?

— Prawie codziennie, kiedy zdrów jestem. Ale kiedy jestem chory, to dalibóg jestem do niczego.

— Co ja, to lepiej strzelam, niż Bussy. Ach! dla Boga, czego mi tak drzesz wasy?

Fryzjer ukląkł.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Saint-Luc — poradź mi, jakie lekarstwo na serce.

— Jedz, jedz, kochanku — rzekł król.

— Sądzę, że się mylisz, Najjaśniejszy panie.

— Bynajmniej — upewniam cię.

— Masz słuszność, panie Valois — odezwał się Chicot — ja właśnie na serce choruję.

I słychać było jak pracował szczękami.

Król odwrócił się i ujrzał jak Chicot zawija zastawioną dla niego wieszak.

— Chicot, co tam robisz?... — zapytał król.

— Stosuję wewnętrznie smarowidło, którego mi z wierzchu zabroniono.

— Jedz, jedz kochanku — rzekł król — wewnątrz czy zewnątrz, to mi wszystko jedno. Hej! niechaj mi zawołają kapitana straży.

— A tobie na co?... — zapytał Chicot.

— Żeby mi nadział Chicota na szpadę i upiekł dla moich psów.

Chicot powstał.

— Jakto! Chicota twoim psom? szlachcica dla bestyj. Dobrze, niech przyjdzie twój kapitan, a zobaczymy.

I Chicot dobył ogromną szpadę, którą skoro zaczął wywijać koło twarzy golarza i fryzjera, król nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Ale mnie się jeść chce — odezwał się król — a ten hultaj całą mi zjadł wieszak.

— Po co grymasisz Henryku — rzekł Chicot,

wszak cię prosiłem do stołu. W najgorszym razie, masz zupę i możesz jeść, bo ja spać idę.

W tej chwili Kasper przyniósł klucz swemu panu.

— I mnie spać się chce okropnie — mówił Saint-Luc — jakiś dreszcz mię przechodzi, już nie wytrzymam dłużej.

— Masz, mój drogi — mówił król, podając garść psiaków, weź je z sobą.

— Na co? — zapytał Saint-Luc.

— Niech z tobą śpią; one wyciągną z ciebie chorobę.

— Dziękuję — odrzekł Saint-Luc, niosąc psia-ki do ich koszyka — nie ufam twojej recepcie.

— W nocy cię odwiedzę, mój drogi — mówił król.

— O! nie przychodź, Najjaśniejszy panie, zakli-nam cię; obudzisz mię nagle i mogę dostać bicia serca.

I, ukłoniwszy się królowi, wyszedł.

Henryk dawał mu znaki swej przychylności, dopóki go nie stracił z oczu.

Chicot zniknął także.

Dwie, albo trzy osoby obecne, wyszły z kolei.

Zostali tylko lokaje królewscy, którzy mu wło-żyli na twarz maskę, pod spodem powleczoną tłu-stością.

W masce tej były otwory na nos i oczy.

Czapka jedwabna, haftowana srebrem, uzupeł-niła nocne ubranie króla.

Następnie włożono królowi na ręce naramienni-ki jedwabne i rękawiczki, z bardzo delikatnej skóry.

Rękawiczki te dochodziły aż do łokci i wew-nątrz wonną były wysmarowane oliwą.

Po ukończeniu nocnej toalety, podano królowi consomme (1) w złotej czarce.

Za nim jej dotknął, ulał połowę w drugą czarękę, przeznaczając ją dla Saint-Luca i życząc mu dobrej nocy.

Ponieważ król dziś mocno był zatrudniony i zaniedbał modlitwy, pocałował tylko szkaplerze i w ogrzane położył się łóżko.

Schowany w liczne poduszki, Henryk kazał wyrzucić kwiaty, które zagęszczały powietrze.

Otworzono na chwilę okna, zapalono na komin-ku wonne drzewo i po chwili wszystko ucichło.

Lokaj zamknął drzwi i firanki, wpuścił wielkiego psa, zwanego Narcyz, który jednym skokiem wpadł na łóżko, otrząsł się i legł na nogach pana.

Nakoniec zgaszono świece i przyćmiono nieco lampę.

Lokaj wyszedł na palcach.

Spokojny, ledwie oddychający król francuski, zapomniał, że nia świecie jest Francja.

! Spał.

W pół godziny, ludzie w różnych czuwających miejscach, widzieli poprzez okna osłonięte firankami, jak światło powoli gaśnie i księżyc przedziera się przez szyby.

Wnosili stąd, że król śpi w najlepsze.

Hałas ucichł powoli, i słyszeć można było, jak nietoperze swobodnie latają w około Luwru.

---

(1) Rodzaj buljonu.

## ROZDZIAŁ VI.

### JAK HENRYK III Z NIEWIADOMEJ PRZYCZYNY NAWRACA SIĘ.

Tak upłynęły dwie godziny.

Nagle rozległ się krzyk, a krzyk ten pochodził z pokoju króla.

Lampa zgasła oddawna, milczenie zaległo komnaty, nie było słycać żadnego szmeru tylko wołanie rozlegało się...

Rzeczywiście to król krzyczał.

Wkrótce słycać było jak upadł jakiś sprzęt, a następnie bieganie po pokoju.

Potem zabłyśły światła, miecze zabrzękły na galerjach i ciężkie stapania wstrząsały kamienne posadzki.

— Do bronil... — krzyczano ze wszystkich stron — do bronil... król woła, bieżmy do króla!...

W tej samej chwili, kapitan służbowy, pułkownik, szwajcarów, domownicy, łucznicy i halabardnicy wbiegli do królewskiego pokoju, w którym dwadzieścia pochodni naraz zabłyśło.

Przy wywróconem krześle, potłuczonych szklankach i łóżku, z którego bielizna i pościel leżały porozrzucane na ziemi, stał Henryk w śmiesznej postawie, blady, z najeżonemi włosami i obłąkanym wzrokiem.

Rękę prawą miał wyciągniętą, drżącą jak listek.

Ławą trzymał szpadę, którą machinalnie pochwycił.

Pies, nie pojmując przyczyny zamieszania, patrzył i wył żałośnie.

Król, zdawało się, że oniemiał z przestachu, a że nikt nie śmiał przerwać milczenia, każdy więc

zapytywał oczami i czekał w niepokoju końca sceny.

Wtedy napół ubrana, ale odziana szerokim płaszczem, weszła młoda królowa, którą krzyk męża przebudził. Ludwika Lotaryńska, łagodna i miła, święte wiodła na dworze życie.

— Najjaśniejszy panie — rzekła, drżąc jeszcze więcej, niż wszyscy — co to takiego?... Twój krzyk przebudził mnie i przychodzę.

— To... to... to nic — rzekł król, nie mogąc władć językiem.

— Ale Wasza królewska mość krzyczałeś — powtórzyła królowa — czy jesteś cierpiący?

Taka trwoga była rozlana na twarzy Henryka, że mimowolnie objęła obecnych.

Cofano się i postępowano naprzód, oglądano króla, czy nie jest raniony, albo czy go gad jaki nie ukąsił.

— O! Najjaśniejszy panie — zawołała królowa — zaklinam cię, skończ nasze cierpienia. Może potrzebujesz lekarza?

— Lekarza?... — rzekł Henryk ponurym głosem. Nie, ciało moje jest zdrowe, ale dusza, ale umysł — nie, nie lekarza, lecz księdza.

Każdy obejrzał się, oglądano drzwi, okna, posadzkę, aby ujrzeć przyczynę przestachu króla.

Tajemnica nie rozjaśniła się, król żądał spowiednika.

Wysłano konnego posłańca, iskry sypnęły się po bruku i w pięć minut, przeor jezuicki, porwany z łóżka, przybył do króla.

Za przybyciem spowiednika ustało zamieszanie, powróciła spokojność, a wszyscy gubili się w domysłach.

Król tymczasem spowiadał się.

Nazajutrz bardzo rano, król wstawszy najwcześniej, kazał zamknąć bramę Luwru i nikogo nie wpuszczać, prócz spowiednika.

Następnie kazał przywołać skarbnika i przywołał swoich przyjaciół.

Rozkaz poszedł naprzód do Saint-Luca: lecz ten był więcej cierpiący, niż wczoraj, choroba jego zwiększyła się, sen, albo raczej letarg był tak mocny, że chociaż tylko ścianą oddzielony od króla, nie słyszał nocnej sceny.

Prosił więc, aby mu pozwolono pozostać w łóżku i przyrzekł odmówić naznaczone modlitwy.

Po wysłuchaniu tej odpowiedzi, Henryk przeżegnał się i kazał przywołać swojego aptekarza.

Później, rozkazał w Luwrze zaprowadzić karność jak w klasztorze Augustjanów.

Odziany czarno, przechodził do kulejącego Schomberga, do d'Epernona, mającego rękę zranioną, od Quelusa do Maugirona i d'O.

Rozdzielał modlitwy, nakazywał biczowania i to tak mocne, jak tylko mogli wytrzymać.

D'Epernon usprawiedliwiał się, że będąc ranny, winien być uwolniony od chłosty.

Henryk odpowiadał, że jego pokuta tem będzie Bogu przyjemniejszą.

Sam dawał przykład. Zdjął suknię, koszulę i biczował się jak męczennik.

Chicot pragnął się śmiać, ale groźne spojrzenie króla oznajmiło mu, że to nie pora.

Wziął i on z innemi dyscyplinę; ale nie siebie bił, tylko sąsiadów, w braku zaś tychże, kolumny i rzeźby.

Powoli rozjaśniło się oblicze króla, widać jednak było, że dusza jego cierpi.

Nagle opuścił pokój i kazał czekać na siebie; po jego wyjściu, pokutnicy zaprzestali biczowania.

Chicot tylko bije d'O, a on mu oddaje, co sił starczy; jest to męczeński pojedynek.

Henryk poszedł do królowej, ofiarował jej perły za dwadzieścia pięć tysięcy talarów, pocałował w usta, co mu się od kilku lat nie zdarzyło i zaklinał, aby zrzuciła ozdoby królewskie, a wdziała włosiennicę.

Ludwika Lotaryńska dobra i łagodna, zezwoliła na wszystko.

Pytała męża tylko, dlaczego dał jej perły, a każe wdziać włosiennicę?

— Za moje grzechy — odpowiedział Henryk.

Ta odpowiedź zadowoliła królowę.

Ubrała się stosownie do woli Henryka, który powrócił do swego pokoju i czekał na żonę.

Na widok króla, rozpoczęło się biczowanie, d'O i Chicot już sobie i krwi puścili; król dziękował im i nazywał najlepszymi przyjaciółmi.

W dziesięć minut przybyła królowa, ubrana we włosiennicę.

Natychmiast rozdają świece i cały dwór, bosy, po lodzie i po śniegu, tak piękni dworzanie, jak delikatne damy, idą do Montmartre; naprzód drżący od zimna, później ogrzani razami Chicota.

D'O pokonany, został w tyle o pięćdziesiąt kroków.

O czwartej wieczór skończyła się procesja.

Klasztory dostały hojne jałmużny, nogi nabożnym popuchły, grzbiet niejednego posiniał, a królowa odziana we włosiennicę, dobrze uziębła.

Dzień, jak widzimy, dobrze spędzony.

W rzeczy samej, każdy ucierpiał zimna i bólu, aby się spodobać królowi; nikt jednak nie wiedział



dłaczego król tańczący wczoraj, dziś został pokutnikiem.

Hugonoci i należący do ligi przechodząc, uśmiechali się patrząc na biczowników.

Henryk powrócił naczczo. z sinemi pręgami na ramionach; przez cały dzień nie opuszczał królowej i korzystał z każdej chwili spoczynku po stacjach, aby jej przyrzekać nowe ofiary i nowe pielgrzymki.

Co do Chicota, ten zmęczony biciem i wygłodzony przechadzką, przy bramie Montmartre z kilkoma dworskimi ateuszami, uciekł do szynku sławnego z piwa i kiełbas.

Gdy procesja wracała, złączył się z nią i powrócił do Luwru, silniej jeszcze bijąc pokutników i pokutnice, i udzielając, jak mówił, rozgrzeszenia.

Wieczorem, król uczuł się strudzonym, kazał dać sobie postną wieszczę, wysmarować ramiona, zapalić ogień i poszedł do Saint-Luca, którego zastał zdrowym i weselszym.

Od wczoraj król bardzo się zmienił; wszystkie jego myśli zwróciły się ku znikomości rzeczy ziemskich, ku pokucie i ku śmierci.

— Ach!... — rzekł z wyrazem znudzonego życiem człowieka — Bóg zgotował nam bardzo gorzkie życie.

— Dlaczego Najjaśniejszy panie?,,, — zapytał Saint-Luc.

— Bo człowiek znudzony światem, zamiast lękać się śmierci, pragnie jej.

— Przebacz Najjaśniejszy panie?,,, — odparł Saint-Luc — może mówisz o sobie, ale ja, wcale sobie nie życzę umierać.

— Słuchaj Saint-Luc — rzekł król — lepiej byś zrobił, żebyś mię usłuchał i poszedł za moim przykładem.

— Najchętniej, jeżeli ten przykład będzie po-  
nętny.

— Chcesz, abyśmy obydwaj porzucili, ja koronę,  
a ty żonę i wstąpili do klasztoru? mogę otrzymać po-  
zwolenie papieskie i jutro uczynimy profesję. Ja bę-  
dę się nazywał bratem Henrykiem.

— Przebac Najjaśniejszy panie, ty mało cenisz  
koronę, bo ją znasz dobrze; ale dla mnie żona jest  
drogą, bo prawie jej nie znam. Przebac więc, że  
odmawiam.

— Jak widzę, lepiej ci mój drogi.

— Daleko lepiej, Najjaśniejszy panie. Czuję  
spokój i radość w sercu. Nietwierzysz jak duszę  
mam usposobioną do szczęścia.

— Biedny Saint-Luc!... — mówił król składając  
ręce.

— Wczoraj trzeba mi było to zaproponować,  
Najjaśniejszy panie. Och! wczoraj byłem niespokoj-  
ny, zgryźliwy, w złym humorze. Dzisiaj dobrze noc  
przepędziłem i dzień dla mnie był wesoły. Niech  
mnie piorun trzaśnie, jestem szczęśliwy.

— Saint-Luc, ty klniesz!

— Tak Najjaśniejszy panie; lecz i ty klniesz  
niekiedy.

— Kłamię, ale nie będę...

— Ja nie śmiem przyrzekać. Prócz tego, Bóg  
jest miłosierny i przebacza nam ludzkie ułomności.

— Więc sądzisz, że mi przebaczy?

— Ja nie mówię o tobie Najjaśniejszy panie, ale  
o twoim słudze. Ty, grzeszyłeś jak król, ja, jak  
człowiek prywatny, a spodziewam się, że w dzień  
sądu będą dwie szalki.

— Król westchnął, zmówił *confiteor* i przy *mea*  
*culpa*, w piersi się uderzył.

— Saint-Luc — rzekł nakoniec — czy chcesz zemną noc spędzić?

— Cóż będziemy robili w pokoju Waszej królewskiej mości?... — zapytał.

— Zapalimy światła, ja się położę, a ty będziesz mi czytał litanie do wszystkich świętych.

— Dziękuję Najjaśniejszy panie.

— Jakto, nie chcesz? jakto, opuszczasz mię?

— Przeciwnie.

— Ach! gdybyś chciał.

— Chcę, ale pod warunkiem...

— Jakim?

— Że Wasza królewska mość każesz zastawić stoły, pošlesz po muzykę i dziewczęta i że będziemy tańcować.

— Saint-Luc, Saint-Luc! — mówił król z ubolewaniem.

— Najjaśniejszy panie, dzisiaj szczególnie jestem wesoły.

Henryk nic nie odpowiedział.

Jego umysł niegdyś żywy i wesoły, zaciemniał się coraz bardziej i zdawał się walczyć z ciężącą na nim myślą, jak ołów przywiązany do nóg ptaka, nie dozwalała mu wzlecieć.

— Saint-Luc — rzekł król nakoniec — czy mie-wasz sny?

— Niekiedy, Najjaśniejszy panie.

— A wierzysz w sny?

— I bardzo.

— Jakto?

— Tak, sny często wynagradzają nam rzeczywistość. I tak, tej nocy miałem sen bardzo przyjemny.

— Jaki?

— Śniła mi się moja żona...

— Zawsze myślisz o żonie.

— Więcej, jak kiedykolwiek.

Król westchnął i spojrział w górę.

Śniło mi się — mówił dalej Saint-Luc — że moja żona miała... bo Najjaśniejszy panie, moja żona jest wcale ładna.

— Tak — rzekł król. Ewa była piękną i Ewa nas zgubiła.

— Wróćmy do mego snu, Najjaśniejszy panie.

— I ja miałem sen — rzekł król.

— Otóż śniło mi się, że moja żona miała skrzydła i że mimo krat dostała się do Luwru i zawołała na mnie:

— „Otwórz, mój drogi, to ja, twoja żona“.

— I otworzyłeś? — zapytał król z rozpaczą.

— Naturalnie, a nawet z pośpiechem.

— Materjalista!

— Jak ci się podoba, Najjaśniejszy panie.

— I obudziłeś się?

— Bynajmniej; sen dla mnie był bardzo przyjemny!

— I wciąż marzyłeś?

— Jak tylko mogłem najdłużej.

— A dzisiejszej nocy?

— Jeszcze spodziewam się marzyć. Otóż przebac Najjaśniejszy panie, dlatego nie chcę być razem z tobą, Jeślibym czuwał, to pragnąłbym rzeczywistości i dlatego proszę o muzykę i dziewczęta.

— Dosyć, dosyć — rzekł król, podnosząc się — zgubisz siebie i mniebyś zgubił, gdybym dłużej był z tobą. Bądź zdrow, spodziewam się, że Bóg ześle ci sen nie kuszący, ale zbawienny, który cię skłoni do pokuty.

— Wątpię, Najjaśniejszy panie i radziłbym ci

dla zupełnej pokuty wyprawić dzisiaj z Luwru Saint-Luca.

— Nie, nie — Jestem pewny, że cię Bóg lepsze mi natchnie myślami. Do widzenia, idę się modlić za ciebie.

— A ja będę marzył za ciebie Najjaśniejszy Panie.

I zaczął nucić pierwszą zwrotkę pieśni, którą król lubił. To przyspieszyło wyjście króla, który rzekł:

— Panie, sprawiedliwe twe sądy, bo na świecie coraz gorzej.

## ROZDZIAŁ VII.

### DLACZEGO KRÓL SIĘ PRZELAŚĆ A DLACZEGO CHICOT.

Wyszedłszy od Saint-Luca, król zastał dwór zgromadzony w wielkiej galerji, stosownie do rozkazu.

Każdemu ze swych przyjaciół wyświadczył jakąś łaskę:

Wysłał d'O, d'Epernona i Schomberga na prowincję; zagroził Maugironowi i Quelusowi, że ich odda pod sąd, jeżeli z Bussym kłócić się będą, temu ostatniemu dał rękę do pocałowania, a brata Franciszka przycisnął do serca.

Królowę obsypywał pieścizotami i pochwałami, tak, że obecni niechybnie przepowiadali następcę tronu.

Tymczasem zbliżyła się godzina spoczynku, a król jak można najdłużej ją odwlekał.

Nakoniec zegar w Luwrze wybił dziesiątą.

Henryk spojrział w około, jakby wybierał jednego ze swych przyjaciół do czytania, którego Saint-Luc odmówił.

Chicot wciąż patrzył na króla.

— Otóż — rzekł ze zwyczajną śmiałością — dzisiaj słodkie oczki robisz do mnie, Henryku. Może myślisz, komu dać Opactwo z dziesięcioma tysiącami liwrów dochodu. Daj go mnie, mój synku, doskonałym będę opatem.

— Pójdź ze mną, Chicot — rzekł król — dobranoc, panowie, spać idę.

Dworzanie przygryźli usta, a król spojrział gniewnie.

— Hej!... golarz, fryzjer, lokaj, i moje maści — wołał Chicot.

— Nie potrzeba tego wszystkiego — odezwał się król, — zaczynamy wielki post i czas pokuty.

— Szkoda — rzekł Chicot.

Król i trefniś weszli do pokoju, który już znamy.

— Ach!... Henryczku — mówił Chicot — więc dzisiaj jestem w łaskach?... jestem ci koniecznie potrzebny?... a zatem muszę być piękny jak Kupido lub Quelus.

— Ciszej trefnisiu — zawołał król — a wy, panowie toaletowi, precz!...

Służący wyszli i drzwi się zamknęły; Henryk i Chicot pozostali sami.

Chicot patrzył na Henryka z pewnym rodzajem podziwienia.

— Dlaczego ich odsyłasz?... — zapytał trefniś. — Jeszcze nas nie wysmarowali a ty zapewne nie zechcesz mnie smarować.

Henryk nic nie odpowiedział, ale po chwili rzekł:

— Módlmy się.

— Dziękuję — odrzekł Chicot — jeżeliś dla tego

mię sprowadził, Bóg zapłać; wolę wrócić, skąd przyszedłem, — dobranoc mój synku.

— Zostań — rzekł król.

— Ha!... ha!... — odezwał się Chicot, mój drogi, ty jesteś jak Falaris, jak Denis; nudzę się piekielnie, a ty każesz mi skórę sobie rzemieniami okładać; dajmy już temu pokój, Henryku.

— Ciszej, gaduło — rzekł król — lepiej myśleć o pokucie.

— Dobrze... ale powiedz mi, za co będę pokutował. Chyba, że jestem błaznem, *Confiteor* — żałuję bardzo, żałuję, *Mea culpa* — moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.

— Tylko nie bluźnij.

— Na honor, wolałbym być zamknięty w klatce ze lwami, albo z małpami, niż tutaj. Idę, dobranoc. Król wyjął klucz z drzwi.

— Henryku! — rzekł Chicot — powiadam ci, że jesteś okrutny, nie pozwalając mi wyjść; będę krzyczał, wyważę drzwi, wybiję okno.

— Chicot, mój przyjacielu — mówił król smutno — nadużywasz mojej dobroci.

— A! rozumiem — powiedział Chicot — lękasz się sam zostać; każ sobie zrobić dwanaście pokojów, jak Denis, albo dwanaście pałaców, jak Tyberjusz. Tymczasem weź moją szpadę i pozwól mi odejść.

Na ten wyraz: „lękasz się“, błyskawica przeszła przed oczyma Henryka, dreszcz jakiś opanował go i zaczął biegać po pokoju.

Takie było wzruszenie króla, taka bladość na jego twarzy, że Chicot sądził, iż jest chory i spojrzawszy kilkakroć na niego, rzekł:

— Mój synku, co tobie? opowiedz Chicotowi twoje cierpienia.

Król stanął przed trefnisiem i spojrzął na niego.

— Tak — rzekł — ty jesteś jedynym moim przyjacielem.

— Dobrze opactwo w Valencey wakuje — rzekł Chicot.

— Słuchaj Chicot, bądź grzecznym.

— Także i Pitiviers.

— Mimo twych żartów — mówił król — masz dobre serce.

— Kiedy nie chcesz opactwa, daj mi regiment.

— Ty czasem nieźle poradzisz.

— To zrób mnie radcą; ale wolę opactwo albo regiment. Nie chcę być radcą, bo musiałbym zawsze być twojego zdania, Henryku.

— Ciszej, ciszej Chicot, zbliża się straszna godzina.

— Czy cię znowu napada? — rzekł Chicot.

— Zobaczysz, usłyszysz.

— Co takiego?

— Zaczekaj, a wszystkiego się dowiesz.

— Ciekawym co takiego? mnie się zdaje...

— Chicot, czy masz odwagę?

— Pochlebiam sobie; ale z tobą, mój synu, i tej zabraknie; kiedy król polski i francuski drży jak listek, ja nic nie powiem o sobie; wiem tylko, że lepiej zrobisz, jeżeli każesz przywołać strażę, a ja... ja lepiej pójdę spać.

— Rozkazuję ci zostać — zawołał król z powagą.

— Dziwna rzecz rozkazywać trwodze; mówię ci, że się boję, gwałtu!

I Chicot, aby uniknąć niebezpieczeństwa, wszedł na stół.

— Kiedy tak — mówił król — muszę ci wszystko opowiedzieć.

— Tak, to co innego — mówił Chicot, powoli złączając ze stołu, i wyjmując swoją długą szpadę. Skoro



będę wiedział, może złemu zaradzę. Mów, mów mój synu. Może się jaki krokodyl ukaże? klinga dobra, bo o moje rogi ostrzona; o! twarde ja mam rogi.

I Chicot usiadł na krześle, wzięwszy pomiędzy nogi szpadę, którą zwinął jak węża, symbol pokoju na lasce Merkurego.

— Ostatniej nocy — mówił Henryk — spałem.

— I ja także — przerwał Chicot.

— Nagle jakiś oddech mię owiał.

— Może zgłodniały pies dotknął twej...

— Przebudzam się i czuję, jak włosy powstają mi na brodzie pod maską.

— Wybornie! — znowu przerwał Chicot, poprawiając się na krześle i opierając się na rękojeści szpady.

— Wtedy — mówił król dalej, ale głosem tak drżącym i cichym, że Chicot ledwie dosłyszał; wtedy jakiś tajemniczy głos rozległ się po pokoju...

— Głos krokodyla? Tak, czytałem w podróży Marka Polo, że krokodyl ma straszny głos, naśladujący krzyk dzieci; ale uspokój się mój synu, jak przyjdzie, zabijemy go.

— Słuchaj więc.

— Słucham — rzekł Chicot — będę siedział spokojnie, jak zakłęty.

Henryk mówił ponurym głosem:

-- Nędzny grzeszniku — mówił głos.

— To głos mówił, a nie krokodyl — przerwał Chicot.

— Nędzny grzeszniku, — ciągnął król, — jestem głosem zgóry.

Chicot podskoczył i stanął na krześle.

— A! Chicot — mówił Henryk — to straszny głos.

— Piękny głos — przerwał Chicot podobny, jak pismo mówi, do trąby.

Potem dały się słyszeć następujące wyrazy:

„Czy jesteś? czy słyszysz, zatwardziały grzeszniku, czy chcesz trwać w twoich nieprawościach?”

— Prawda — rzecze Chicot — ten głos coś prawdę mówił.

— Potem — mówił król — tysiące zrobiono mi zarzutów, a wszystkie okropne.

— Mów, mów dalej, mój synu, niechaj wiem wszystko.

— To coś cudownego!

— Ja bynajmniej nie wątpię, tylko mi dziwno, dlaczego wcześniej nie dano ci takiej przestrogi. Od chwili potopu widać Pan Bóg bardzo cierpliwy. Ale mój synku, musiałeś się przełęknąć okropnie?

— O! tak.

— I było czego.

— Zimny pot spłynął mi po czole i szpik zamarł w mych kościach.

— Zupełnie jak w Jeremjaszu. Na twojem miejscu ja sam nie wiem cobym uczynił. Zapewne krzyku narobiłeś?

— Nie inaczej.

— I pewno zbiegł się dwór cały?

— Natychmiast.

— I szukano głosu?

— Wszędzie. Przecież tak byłem strwożony, że m kazał spowiednika przywołać.

— I przyszedł?

— Zaraz.

— Powiedz mi szczerze, mój synu, co myślał o tem spowiednik?

— Zadrżał.

— I ja tak myślę.

- Przeżegnał się i kazał mi pokutować.
- Niema w tem nic złego, ale co myślał o głowie, który mówił?
- Że to jest przestroga, natchnienie, abym myślał o losie państwa. Ja też dzisiaj rano...
- I cóżś zrobił?
- Dałem Jezuitom 100.000 liwrow.
- Bardzo dobrze.
- I biczowałem siebie oraz dwór cały.
- Wybornie. Cóż dalej?
- Cóż myślisz o tem, mój Chicot? bo mówię do ciebie, jak do człowieka rozsądnego i do przyjaciela.
- Ja myślę, że Najjaśniejszy pan miał dzisiaj zmore.
- Tak sądzisz?
- Że ten sen nawet się nie powtórzy, jeśli nim głowy sobie nie nabijesz.
- Sen? — mówił Henryk, potrząsając głową. O! ja nie spałem, ręczę ci.
- Spałeś, Henryku.
- Miałem nawet oczy otwarte.
- I cóż widziałeś?
- Widziałem, jak księżyc świeci w okna i amethyst u mojej szpady połyska.
- A z lampą co się stało?
- Zgasła.
- To sen, czysty sen.
- Dlaczegoż nie wierzysz, Chicocie? Alboż Bóg nie przemawia do panujących, kiedy chce dokonać zmiany na ziemi?
- Tak, prawda.
- Ale dlaczegoż nie wierzysz?
- Boś dobrze słyszał.
- A wiesz, dlaczego cię zatrzymał? — rzekł król.

— Bynajmniej.

— Abyś ty sam posłyszał ten głos.

— Ażeby ludzie myśleli, gdy im to powtórzę, że żarty prawie? Chicot nic nie znaczy, Chicot zero, błazen, któremu nikt nie uwierzy. Niezgrabnie, mój synu, niezgrabnie.

— Dlaczego nie mają wierzyć mojemu przyjacielowi? wszak twojej wierności powierzam moją tajemnicę.

— Nie kłam, nie kłam, Henryku. Jeżeli głos przyjdzie, zarzuci ci kłamstwo, a i tak masz dosyć na swoim sumieniu. Lecz nic nie szkodzi! Przyjmuję zlecenie, bo może głos i dla mnie co powie.

— I cóż mam czynić?

— Połóż się, mój synu.

— Ale, jeżeli...

— Niema żadnego ale.

— Jednak...

— Czy myślisz, że głos umilknie dlatego, że będziesz stał? Wierzaj mi, Henryku, niecofnione są wyroki Boskie.

— Masz słuszność — rzekł król — więc zostajesz?

— Wszak zgodziłem się na to.

— Kładę się zatem. A ty położysz się?

— Nie czuję potrzeby.

— Ja tylko wierzchnią zdejmę suknię.

— Jak ci się podoba.

— Ostrożność jest potrzebna...

— A ty?

— Ja pozostanę, gdzie jestem.

— I nie będziesz spał?

— O! za to ręczyć nie mogę; sen, równie jak strach nie zależy od naszej woli.

— Przynajmniej będziesz się starał...

— Bądź spokojny, w razie potrzeby głos mię przebudzi.

— Tylko nie żartuj z głosem — mówił Henryk, jedną nogą będąc już w łóżku.

— Czy ja cię muszę położyć?... — mówił Chicot. Król westchnął i popatrzawszy we wszystkie kąty pokoju, drżący, wśliznął się w łóżko.

— Teraz na mnie kolej — rzekł Chicot.

I rozparł się w krzesło, okładając poduszkami.

— Nieźle — rzekł król — a tobie?...

— Jakże ci, Najjaśniejszy panie?...

— Dobrze... dobranoc Henryku.

— Dobranoc, ale nie śpij.

— Będę się starał — odpowiedział Chicot, ziewając.

I obadwaj zamknęli powieki: król, ażeby udawać śpiącego; Chicot, aby zasnąć.

## ROZDZIAŁ VIII.

### JAK GŁOS OMYLIŁ SIĘ I MÓWIŁ DO CHICOTA, ZAMIAST DO KRÓLA.

Król i Chicot prawie przez dziesięć minut pozostali milczący i nieruchomi; nagle król zerwał się i usiadł na łóżku.

Na to poruszenie, Chicot również się zerwał.

Obadwaj spojrzeli na siebie płonącymi oczyma.

— Co tam?... — cicho zapytał Chicot.

— Nie wiem — odrzekł król, ciszej jeszcze.

W tej chwili jedna świeca w ręku złotego Satoryra zgasła, następnie druga i trzecia, w końcu ostatnia.

— Ho!... ho!... — mówił Chicot — powiew nie na żarty.

Zaledwie ostatni wymówił wyraz, lampa z kolei zgasła i ciemność zupełna zaległa pokój.

— Cóż u licha! — zawołał Chicot powstając.

— Będzie mówił, będzie mówił, — rzekł król kuląc się na łóżku.

— Zatem słuchajmy.

W rzeczy samej, głos ponury i świszczący mówił w rogu łóżka:

— „Zatwardziały grzeszniku, czy jesteś?”

— Jestem, jestem — rzekł Henryk, szczękając zębami.

— Jakiś chropowaty głos — zrobił uwagę Chicot — ale słuchajmy, to coś ciekawego.

— „Czy słyszysz mnie?” — zapytał głos.

— Słyszę — wyjąkał Henryk — słucham drżący przed twoim gniewem.

— „Czy myślisz, że byłeś mi posłuszny, powierzchownie oddając się pokucie, a serce zachowując dla grzechu?”

— Dobrze mówi, — rzekł Chicot — to tak jak kazanie.

Król złożył ręce, gdy się Chicot doń zbliżył.

— A co? — odezwał się — czy teraz wierzysz?

— Czekał! — rzekł Chicot.

— Co chcesz?

— Ciszej, oto zsuń się lekko z łóżka a mnie puść na twoje miejsce.

— A to na co?

— Aby gniew owego złośliwego ducha spadł na mnie, a nie na ciebie.

— Myślisz, że mi to co pomoże?

— Spróbujmy.

I lekko zsunąwszy króla, sam się na jego miejsce położył.

— Teraz, Henryku — rzekł — siadaj na mojem miejscu i nie przeszkadzaj mi.

Henryk wykonał prośbę.

— „Nic nie odpowiadasz — mówił głos — znać żeś zatwardziały w grzechach!”

— Przebaczania! przebaczania! — mówił przez nos Chicot, naśladowując Henryka.

I zwrócił mowę do króla.

— To szczególniejsza — rzekł — duch nie poznał się.

— O! o! — westchnął Henryk.

— „Nieszczęsny!” — odezwał się głos.

— Tak, tak — odrzekł Chicot — jestem zatwardziały w grzechach, wielki winowajca.

— „A więc wyznaj twoje grzechy i żałuj za nie”.

— Wyznaję że m zdradziecko postąpił z moim krewnym, księciem Conde, uwodząc mu żonę. Żałuję tego z serca.

— Co tam gadasz? — pomruknął król. — Lepiej bądź cicho, bo tu nie o tem mowa.

— A! prawda — odrzekł Chicot.

— Wyznaję, że byłem niewdzięczny dla dawnych moich poddanych; oni obrali mię królem, a ja tajemnie ich opuściłem.

— „Mów” — zawołał głos.

— Wyznaję — spowiadał się Chicot — że pozbauiem tronu mego brata d'Alencon, że wypędziłem z Francji mego szwagra, króla Nawarry, wygubiwszy jego przyjaciół i moją siostrę królową Małgorzatę, pozbawiwszy jej kochanków. Za to wszystko szczerze żałuję.

— A! łotr — mówił król, ścisnąwszy zęby ze złości.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Chicot — tu nic nie można ukrywać.

— „Nie idzie tu o politykę” — odezwał się głos.

— A! wiem o co chodzi — żalonym tonem mówił Chicot. — Idzie o moje obyczaje, nieprawdaż?

— „Tak jest” — potwierdził głos tonem grobowym.

— Obchodziłem się źle z kobietami, osobliwie z moją żoną, tak dobrą, tak pocziwą!

— Potrzeba kochać żonę, jak siebie samego i szanować ją” — rzekł głos tonem groźnym.

— Ach!... — zawołał Chicot — kiedy tak, to bardzo wiele zgrzeszyłem.

— „I innym grzeszyć kazałeś dając zły przykład”.

— Prawda.

— „O małoś nie potępił biednego Saint-Luca”.

— Ba! — zawołał Chicot — a to ten głos wie wszystko.

— „Jeżeli usłuchasz roztropnej rady, każ mu jutro powrócić na łono rodziny”.

— A to widzę jakiś przyjaciel familji Cossa — rzekł cicho do króla.

— „I masz wynagrodzić go tytułem księcia za wszelkie cierpienia”.

— A jak nie usłucham? — odpowiedział Chicot, z odcieniem uporu w głosie.

— „Jeśli będziesz nieposłuszny — odparł głos tonem strasznym — będziesz gorzał w kotle, w którym cię czekają Sardanapał, Nabuchodonozor i marszałek de Retz”.

Henryk III-ci westchnął.

Przerażenie opanowało go zupełnie.

— Co u licha!... — mówił Chicot — ten głos bar-



dzo przychylny panu Saint-Luc; kto wie, może to jego jaki krewny?

Henryk nie zważał na dowcip trefnisia i mówił z goryczą:

— Jestem zgubiony! ten głos śmierć na mnie sprowadzi — to jest głos z góry.

— Bynajmniej, tym razem mylisz się nieco Henryku, ten głos pochodzi z boku.

— Jakto z boku?... — zapytał Henryk.

— Tak, czy nie uważasz, że z tej strony muru? Na honor, ten głos w Luwrze mieszka.

— Niedowiarku!... — zawołał Henryk.

— Być może; tylko to mnie dziwi, że Henryk III-ci nie ciekawy poznać tak znakomitego gościa.

W tej chwili, drzazga pozostawiona w kominku, zapaliła się i oświetliła twarz Chicota.

Twarcz ta była tak wesoła i żartobliwa, że król aż się zadziwił.

— Jakto!... — zawołał, ty żartujesz sobie?

— Nie inaczej i tobie Henryku to samobym poradził. Oto przekonaj się tylko...

— O czym?

— Że głos mieszka u ciebie w Luwrze.

— A gdyby mówił jeszcze?

— Będę odpowiadał za ciebie; wszak dotąd nic nie poznał.

Król zmarszczył brwi, a Chicot mówił tak długo, że nieco naruszył jego wiarę.

— Masz słusność — rzekł — ja sam mam ochotę.

— Więc idź — rzekł Chicot.

Henryk lekko otworzył drzwi na korytarz, prowadzący, jeżeli sobie przypominamy do pokoju mamy Karola IX-go, zamieszkałego obecnie przez Saint-Luca.

Zaledwie cztery kroki postąpił, głos począł być donośniejszy i Chicot mu odpowiadał.

— „Tak — mówił głos — jesteś niestały, jak kobieta, miękki jak sybaryta, zepsuty, jak poganin“.

— Alboż to moja wina!... — odpowiadał Chicot — na cóż mam skórę tak delikatną, ręce tak białe i umysł tak zmienny? Od dzisiaj przyrzekam nosić grube koszule, zażrzebać się w popiele jak Job i żyć, jak Ezechjel.

Henryk postępował po korytarzu uważając, że głos jest coraz mocniejszy i że pochodzi z pokoju Saint-Luca.

Już miał do drzwi zapukać, gdy mocne światło, przedzierające się dziurką od klucza, wzrok jego uderzyło.

Zniżył się do dziurki i spojrział.

Zwykle błądy, zaczerwienił się z gniewu, wyprostował i przetarł oczy, aby lepiej mógł widzieć.

— Do pioruna!... — zawołał — czy być może, aby do tego stopnia ze mnie żartowano?

Oto co ujrzał przez dziurkę.

W rogu pokoju, Saint-Luc w szlafroku, mówił przez tubę, a młoda kobieta, ubrana w bieli przezroczystej i oparta na jego ramieniu, wrywała mu niekiedy tubę, dmuchając w nią.

Po każdym prawie wyrazie, a tembardziej po odpowiedziach Chichota następowały śmiechy.

— Joanna de Cosse w pokoju Saint-Luca, dziura w murze, żarty ze mnie!... — pomrukiwał Henryk — ach! niegodziwi! drogo mi to zapłacą.

I gdy głos wypowiadał najwięcej znieważające go zdanie, Henryk cofnął się o parę kroków i tak silnie nogą uderzył we drzwi, że aż zamek odleciał.

Joanna z okrzykiem przestrawu ukryła się za firanki.

Saint-Luc, z tubą w rękę, blady z przestachu, upadł na kolana przed królem.

Po chwili ponurego milczenia, Henryk z groźnem poruszeniem zawołał:

— Precz!...

Porwał tubę z rąk Saint-Luca i rzucił o ziemię.

W tej chwili, Chicot zwabiony łoskotem wybitych drzwi, wszedł do pokoju i pobiegł do łóżka, gdzie Joanna była ukryta.

— Patrzaj... patrzaj Najjaśniejszy panie — zawołał, oto Adam i Ewa po spełnieniu grzechu a ty ich z raję wypędzisz?...

— Tak — rzekł Henryk.

— Pozwól, będę aniołem mścicielem.

I podniósłszy tubę, wznosił ją do góry, mówiąc:

— Oto raj, któryście przez nieposłuszeństwo utracili, nie możecie tu więcej wrócić!

A schyliwszy się do Saint-Luca, rzekł cicho:

— Niech ci konie podadzą, a jutro bądź przynajmniej o dwadzieścia mil od Paryża.

## ROZDZIAŁ IX.

### JAK BUSSY POSZUKUJE SWEGO MARZENIA, CORAZ BARDZIEJ PRZEKONANY, ŻE JEST TO RZECZYWISTOŚĆ.

Bussy i księżę Andegawański powracając razem byli obadwa zamyśleni: księżę z obawy następstw przemówienia się z królem, Bussy zajęty wspomnieniami świeżych wypadków.

— Nakoniec — mówił do siebie, powracając do pałacu, chwaliwszy energję księcia, okazania w roz-

mowie z królem — nakoniec, to pewna, że mię napadnięto i że byłem raniony, bo nawet rana mi dokucza. Potykając się, widziałem mury pałacu Tournelles, i szczerbate baszty Bastylji; na placu przed pałacem Tournelles, pomiędzy ulicami Ś-tej Katarzyny i Ś-go Pawła, napadnięto mnie, gdy jechałem na przedmieście Ś-go Antoniego, po list do królowej Nawarry. Przy bramie potykałem się i gdy się dostał za bramę, widziałem, Quelusa bladego, z gorejącymi oczyma. Zemdlałem, i tu się rozpoczął mój sen. Póniej uczułem zimny powiew wiatru i znalazłem się nad fosą Temple; obok mnie był ksiądz Augustjanin, rzeźnik i jakaś staruszka. Z jakiejś przyczyny, podczas gdy inne sny prędko znikają z pamięci, ten sen coraz głębiej jest wyryty w mojej duszy!...

— A!.. — myślał Bussy — to tajemnica...

I zatrzymał się przy bramie swojego hotelu.

— Niepodobna — rzekł — aby sen tak wyraźnie odbił się w pamięci. W tej chwili nawet widzę pokój z obiciem, malowane sklepienie, łóżko z rzeźbami i adamaszkowemi firankami. Widzę portret, widzę kobietę z jasnymi włosami, i przekonany jestem, że ta kobieta i portret, to jedno i to samo. Nareszcie widzę pocziwą postać młodego lekarza, którego przeprowadzono z zawiązanemi oczyma. Otóż dosyć wskazówek. Powtórzmy raz jeszcze: obicie, sklepienie, łóżko z rzeźbami i lekarz. Dalej!.. muszę coś z tego wynaleźć. A najpierw — myślał Bussy — aby dohrze rozpocząć dzieło, weźmy ubiór inny, i udajmy się do Bastylji.

Wskutek tego postanowienia, wcale nierozsądne go, jak na człowieka, który omal nie zginął, Bussy udał się do siebie, kazał opatrzyć ranę, przywdział ogromne buty, przypasał mocną szpadę, owinał się w płaszcz i wsiadłszy w kolaskę, zatrzymał się dopiero

przy ulicy Króla Sycylijskiego; tam wysiadł, kazał ludziom czekać, a sam udał się ulicą św. Antoniego ku zamkowi Bastylji.

Było koło dziewiątej i właśnie przedzwoniono na gaszenie ognia. Paryż opustoszał. Dzięki odwilży, którą słońce i cieplejsza atmosfera sprowadziły, plac Bastylji pełen był kałuż i wybojów.

Bussy szukał, gdzie jego koń upadł; sądził że znalazł to miejsce, zrobił nawet poruszenie odwrotu i obrony, jakie czynił wczoraj, następnie cofnął się do muru uważał na każdą bramę, aby poznać tę, za którą się schronił. Niestety! jak na nieszczęście, było wiele bram, a wszystkie do siebie podobne.

— Do pioruna! — mówił do siebie z gniewem — gdyby mi nawet przyszło pukać do każdej bramy, wypytywać wszystkich mieszkańców, rozdać lokajom i starym babom tysiące talarów, to muszę wiedzieć co pragnę. Jest tu pięćdziesiąt domów zatem po dziesięć na dzień i w pięciu wieczorach dokonam wszystkiego, niech tylko cokolwiek podeschnie.

Zaledwie skończył monolog, gdy ujrzał małe, blade, drżące światełko, które odbijało się w kałużach, jak latarnia morska w oceanie.

Światło postępowało wolno i nierówno, zatrzymując się niekiedy i zbaczając to na prawo, to znów na lewo.

— Szczególniejszy to plac — mówił do siebie młodzieniec jednak czekajmy.

I żeby wygodniej czekać, obwinał się płaszczem i wcisnął pomiędzy mury. Noc była cemna, zaledwie na cztery kroki przed sobą widzieć było można.

Światełko postępowało wciąż, robiąc różne ruchy.

Ponieważ Bussy nie był zabobonny, nie wziął go za owe ogniki, które trwożyły podróżnych w średnich

wiekach, ale prosto za latarkę, zawieszoną u ręki żyjącej istoty.

W rzeczy samej, po kilku chwilach czekania, przypuszczenie sprawdziło się.

O trzydzieści kroków od siebie spostrzegł czarną postać, trzymającą w lewej ręce latarkę. Postać ta z początku zdawał się należeć do zacnego cechu pijaków, bo tylko pijak robiłby podobne zygzaki w chodzie.

Właśnie postać pośliznęła się i odgłos stłumiony, któremu towarzyszyło wstrząśnienie latarki, dał poznać Bussemu, że nocny podróżny szuka stałszego punktu oparcia.

Już właśnie uczynił poruszenie aby nieść pomoc opóźnionemu pijakowi, gdy ujrzał podnoszącą się latarkę.

— Czekajmy, nowa jak widzę przybędzie nam przygoda, rzekł do siebie.

Ponieważ światło szło w prostym kierunku, Bussy bardziej się do muru przycisnął.

O dziesięć kroków, przy bladym świetle latarki, spostrzegł, że idący mężczyzna miał oczy zawiązane.

— A to szczególnie!... — zawołał — samemu i w takim miejscu grać w ślepa babkę. — Czy ja znowu nie marzę?

Bussy czekał, a mężczyzna zrobił jeszcze pięć czy sześć kroków.

— Boże odpuść, wszak on mówi do siebie. To pewno nie pijak ani warjat, ale jakiś matematyk szukający rozwiązania zagadnienia.

Na ten domysł naprowadziły przez Bussego ostatnie posłyszane wyrazy.

„Czteryśta ośmdziesiąt osiem, czterysta ośmdziesiąt dziewięć, czterysta dziewięćdziesiąt; stąd powinno już być blisko”.

Tajemniczy człowiek prawą ręką podniósł zasłonę z oczów i będąc wprost domu, począł iść naprzód. Przysunawszy się do bramy, patrzył na dom z uwagą.

— Nie — rzekł — to nie tu.

Spuścił zasłonę i znowu liczyć zaczął.

Czterysta dziewięćdziesiąt jeden, czterysta dziewięćdziesiąt dwa, czterysta dziewięćdziesiąt trzy: ach! chyba skonom! zawołał.

I znowu podniósł zasłonę, zbliżając się do bramy w której stał Bussy.

— Hm!.. — rzekł, to tu być powinno — a jeśli nie? czy licho nadało wszystkie te bramy do siebie podobne.

— Moja uwaga słuszna — rzekł do siebie Bussy, to pewno matematyk.

Tajemniczy człowiek, znowu spuścił zasłonę i szedł dalej.

„Czterysta dziewięćdziesiąt sześć, czterysta dziewięćdziesiąt siedem, czterysta dziewięćdziesiąt osiem, czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć...

— „Jeśli wprost mnie jest brama, to ta niezawodnie, rzekł poszukujący.

W rzeczy samej była brama i to sama, w której stał Bussy.

Skoro więc nieznamy wzniosł latarkę i podniósł zasłonę, spojrział twarz w twarz Bussemu.

— I cóż?... — rzekł Bussy.

— A!... — nieznamy cofnął się.

— Stój!... — zawołał Bussy.

— To niepodobna!... — odparł nieznamy.

— Czy jesteś pan lekarzem?

— A pan rycerzem?

— Nie inaczej.

— Jezus!

— Lekarzem — mówił dalej Bussy, który wczoraj wieczór opatrywał rannego, ugodzonego w bok...

— Prawy.

— Tak jest: zaraz pana poznałem: masz pan leką i zręczną rękę.

— A! panie, nie spodziewałem się pana spotkać.

— A czego szukałeś?

— Domu.

— Pan szukałeś domu?

— Tak.

— A więc go nie znasz?

— Jak go mam znać, gdy mię doń wprowadzono z zawiązanemi oczyma?

— Z zawiązanemi oczyma?

— Nie inaczej.

Więc istotnie byłeś w tym domu?

— W tym, albo w bardzo blizkim, bo właśnie go szukam.

— Dobrze — rzekł Bussy — więc nie marzyłem.

— Jakto pan nie marzyłeś?

— Muszę ci powiedzieć mój przyjacielu, że oprócz pchnięcia w bok, wszystko uważałem za sen.

— Teraz się nie dziwię — rzekł młody lekarz.

— Dla czego?

— Domyślałem się jakiejś tajemnicy.

— Którą ja pragnę wyjaśnić i w czem liczę na twoją pomoc.

— Najchętniej.

— Ale przedewszystkiem, dwa wyrazy.

— Powiedz je pan.

— Jak się nazywasz?

— Panie przebacz mi — mówił młody lekarz. Wiem, że na podobne pytanie powinienem się wdrosłować i powiedzieć: a pan jeżeli łaska? Lecz pan masz szpadę, a ja tylko lancet. Pan wyglądasz na pa-



na, a ja jestem zbłocony jak hultaj. Odpowiadam więc, że się nazywam Remy le Haudouin.

— Bardzo dobrze, dziękuję. Ja jestem hrabia de Clermont pan de Bussy.

— Bussy d'Amboisse, waleczny Bussy?... — zapytał lekarz z widoczną radością. Jakto, pan jesteś ów sławny Bussy?

— Ja sam — skromnie odpowiedział Bussy. Teraz kiedy wiemy nasze nazwiska, racz pan zaspokoić moją ciekawość.

— Rzec się ma tak — mówił młody lekarz spoglądając na zabłocone suknie — że jak Epaminondas tebanin, trzy dni będą musiał pozostać w domu, mając tylko jedno spodnie i jeden surdut, które są okropnie zabłocone. Ale nie o tem chcesz pewnie wiedzieć mój panie.

— Tak jest, właśnie chciałem się zapytać jak wszedłeś do tego domu.

— Prostu i tajemniczo zarazem — odrzekł młodzieniec.

— Zobaczymy jak to było.

— Przebacz panie hrabio, że dotąd zapomniałem cię tytułować.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Otóż panie hrabio, mieszkam przy ulicy Beautreillis, o pięćset kroków stąd; jestem biedny chirurg ale upewniam, że zręczny.

— Wiem o tem — odrzekł Bussy.

— Pracowałem wiele — mówił dalej młody lekarz — lecz dotąd mało mam pacjentów. Nazywają mnie jak powiedziałem Remy le Haudoin, Remy imię zchrztu, Haudouin, bom się urodził w Nanteuil le Haudoin. Siedm albo ośm dni temu, pewien jegomość poza arsenałem został okropnie pchnięty nożem; ja ja zeszyłem mu skórę i uporządkowałem wnętrzności.

Temu zapewne przypisać muszę, że wczorajszej nocy miły obudził mię głosik.

— Kobiocy! — zawołał Bussy.

— Tak; ale nie uprzedzaj się, panie hrabio, bo chociaż ubogi, umiem poznać, że to był głos służącej.

— I cóż uczyniłeś?

— Wstałem i otworzyłem; lecz zaledwie słowo mogłem wyrzec, małe ale niedelikatne rączki, zawiązały mi oczy.

— Nic nie mówiąc? — zapytał Bussy.

— Tylko tyle: Pójdź pan, oto nagroda; nie chcesz wiedzieć kto jestem.

— I cóż to była za nagroda?

— Sakiewka pełna pistoletów, którą mi do ręki wsunęła.

— I cóż na to odpowiedziałeś?

— Że jestem gotów iść za moją piękną przewodniczką. Nie widziałem, czy piękna, czy brzydka, ale nazwałem ją ładną, bo to nic zapewne nie szkodzi.

— I poszedłeś nie czyniąc żadnej uwagi?

— Czytałem w książkach, że podobne przygody nie są złe dla lekarza. Szedłem więc, jak powiedziałem, w milczeniu i liczyłem kroki.

— Bardzo roztropnie; a więc przy tej bramie stanąłeś?

— Jeśli nie tu, to pewnie niedaleko.

— Czy ona nie zdradziła się czasem i nie wymówiła jakiego imienia?

— Żadnego.

— A czy nie zrobiłeś jakiego znaku na domu?

— Taki, jaki mogłem uczynić gołemi rękami, to jest obmacałem drzwi i wiem, że są z gwoźmi, za bramą korytarz i schody.

— Na lewo?

— Nie inaczej. Nawet schody policzyłem.

— Wieleż ich?  
— Dwanaście.  
— I zaraz wejście?  
— Zdaje mi się, że przez kurytarz, bo troje drzwi otworzono.

— Dobrze.

— Potem słyszałem głos, zapewne pani, i głos bardzo miły i dźwięczny.

— Tak, to jej.

— Zapewne.

— Jestem tego pewny.

— A więc masz pan coś pewnego. Następnie, wprowadzono mię do pokoju, w którym leżałeś i kaza-  
no mi zdjąć zasłonę.

— Tak.

— I wtedy pana spostrzegłem.

— Gdzież byłem?

— Leżałeś pan na łóżku.

— Na łóżku adamaszkowem, białem.

— Tak.

— W pokoju z obiciem?

— Tak.

— Z malowaniem sklepieniem?

— Tak, oprócz tego, pomiędzy oknami był...

— Portret?

— Prześliczny.

— Kobiety mającej najwięcej lat dziewiętnaście.

— Tak.

— Blondynki?

— Pięknej, jak anioł.

— Tak.

— Jeszcze piękniejszej.

— Brawo! no i cóż dalej zrobiłeś? — zapytał Bussy.

— Opatrzyłem ranę.

— I wybornie, na honor.  
— Jak tylko mogłem najlepiej.  
— Cudownie, powtarzam ci cudownie, bo dzisiaj rano prawie się zasklepiła.

— Dzięki mojemu balsamowi, nie zawiódł mnie...  
Wieleż to razy, nie mając rannych, kaleczyłem sobie skórę i przyłożywszy balsam, goiłem we dwóch dniach.

— Mój drogi panie Remy — mówił Bussy — zdajesz się wybornym chłopcem i uczuвам jakąś skłonność do ciebie. Ale później o tem, mów dalej.

— Potem, pan omdlałeś i głos pytał się o ciebie.

— Skąd się pytał?

— Z bocznego pokoju.

— Aleś samej pani nie widział?

— Zupełnie nie.

— A co jej odpowiedziałeś?

— Że rana nie jest groźna, i że za dwadzieścia cztery godzin i znaku jej nie będzie.

— Musiała być zadowolona?

— Powiedz pan, uradowana; bo zawołała: A! Boże, jakie szczęście!

— Ona to powiedziała? Mój drogi Remy, ja cię uczynię szczęśliwym. Ale cóż dalej?

— Kiedy wszystko skończyłem, głos tej pani odezwał się: panie Remy.

— Wiedział twoje imię?

— Zapewne z owej przygody, którą panu opowiadałem.

— Zapewne.

— Mówiła mi: Bądź zawsze człowiekiem honoru i nie narażaj biednej kobiety, która się poświęciła dla ludzkości; zawiąż sobie oczy i pozwól, że cię wyprowadzą.

— Przyrzekłeś?

— Dałem słowo.

— Dotrzymałeś.

— Jak pan widzisz; wszak szukam domu.

— Kiedy tak — mówił Bussy — kocham cię, uściśnij moją rękę. Jestem ja ci wiele dłużny, panie Remy.

— Dłużny?

— Tak jest i odpłacę... Jak dawno jesteś w Paryżu? Powiedz mi wszystko szczerze.

— Kilka lat; co zaś robię? sam nie wiem, bo nie mam praktyki.

— No, ja ci ją nastreczę; czy chcesz być u mnie? Wierzaj mi, jestem sławnym operatorem i żaden prądzień nie minie, abym skóry komu nie przedziurawił. Czy chcesz łątać dziury, które mnie zrobią i które ja innym porobię?...

— A!... panie hrabio... ja...

— Jesteś człowiekiem, jakiego mi potrzeba. Rękę masz lekką, jak kobieta, a twój balsam...

— Panie...

— Pójdiesz do mnie... będziesz miał pokój i ludzi na usługi. Przyjmij, bo na honor odmowa mię zaboli. Prócz tego, kuracja nie skończona i jeden plaster jeszcze trzeba położyć.

— Panie hrabia!... — mówił młody lekarz — jestem tak uradowany, że nie umiem w tej chwili złożyć ci podziękowań. Wszak będę miał pacjentów?...

— Mówiłem ci, że cię biorę dla siebie i moich przyjaciół. Teraz nic sobie nie przypominasz?...

— Nic.

— Ale pomóż mojej pamięci.

— Jakto?...

— Ty, który jesteś tak uważanym, że liczysz kroki, macasz mury i rozróżniasz głosy, powiedz mi jak się stało, żem się przebudził nad fosą Temple?...

— Pan?...

- Tak, ja.  
— Czyś pomagał do tego przeniesienia?..  
— Bynajmniej... Nawet byłbym się temu sprzeciwił, gdyby się mnie radzono.  
— Ginę w domysłach. Czy nie byłbyś łaskaw jeszcze ze mną poszukać?..  
— Uczynię wszystko, co pan każeś, lecz boję się, aby to nie było daremne, bo te bramy tak do siebie podobne...  
— A więc w dzień...  
— W dzień znowu będziemy widziani.  
— Więc trzeba się dowiadywać.  
— Dowiemy się.  
— I dojdziemy do celu. Wierzaj mi, Remy, jest nas dwóch i rzeczywistość mamy przed sobą, a to rzecz, która da się ująć...

## ROZDZIAŁ X.

### KTO TO BYŁ WIELKI ŁOWCZY BRIAN DE MONSOREAU.

Nie radość już, ale szal prawie ogarnął Bussego, gdy nabrał pewności, że wymarzona przezeń osoba jest rzeczywistą i że ta osoba była dlań ludzką i gościnną.

Nie chciał już puścić młodego lekarza i wziął go do siebie.

Jakkolwiek zabłocony, młody Remy musiał wsiąść z nim do powozu, albowiem Bussy lękał się, aby mu nie zniknął jak sen.

Myślał zawieźć go do pałacu Bussy, zamknąć na noc i dopiero rano na wolność wypuścić.

Czasu powrotu użył na nowe pytania; odpowiedzi jednak kręciły się w znanem nam już kółku.

Remy nie wiedział więcej jak Bussy, chyba to, że był zdrowym i nie mdłał.

Wiele stanowi dla każdego, kto kochać zaczyna, jeżeli ma z kim rozmawiać o ulubionym przedmiocie.

— Prawda, Remy nie widział tej kobiety, lecz Bussy tem większą czuł przyjemność mogąc ją przedstawiać piękniejszą, niż jej portret.

Bussy chciał rozmawiać przez całą noc o nieznanym piękności, lecz Remy używając praw lekarza, żądał, aby chory spał, albo przynajmniej leżał.

Ból i utrudzenie te same podawały rady; trzy tak ważne powody przemogły.

Umieściwszy gościa w trzech wygodnych pokojach, i upewniwszy się, że go nie straci, zeszedł z trzeciego piętra do swego ozdobnego mieszkania.

Nazajutrz, ledwie przebudzony, ujrzał lekarza przy swoim łóżku.

Młody człowiek nie mógł z radości spać w nocy i oczekiwał niecierpliwie przebudzenia się Bussego, aby być pewnym, że nie marzy.

— I cóż? — zapytał Remy — jak się pan miewa?

— Doskonale, mój Eskulapie, a tyś czyś zadowolony?

— Zadowolony, jak tylko być można; ale nie oto chodzi, trzeba ranę obejrzeć.

— Zobacz.

Bussy odwrócił się, aby plaster można było odjąć. Daleko było lepiej, rana goić się zaczęła.

Bussy szczęśliwy spał dobrze, a sen i szczęście nie mało lekarzom pomagają.

— I cóż — zapytał Bussy — jakże tam z moją raną?

— Nie śmiem powiedzieć panu, że prawie jesteś wyleczony, abyś mię nie odesłał na ulicę Beautreillis, o pięćset kroków od owego sławnego domu.

— Który spodziewam się, znajdziemy.  
— I ja tak sędzę.  
— Powiedz mi pewną rzecz, mój drogi.  
— Przebacz pan — zawołał Remy — pa nmi „ty“ powiedziałeś.

— Mówię „ty“ ludziom, których kocham. Może cię to obraża?

— Przeciwnie — odparł młody lekarz chwytając rękę Bussego, aby ją ucałować. — Przeciwnie, tylko zdawało mi się, że źle słyssałem. O! panie, czy chcesz oszalać z radości?

— Nie, nie, mój przyjacielu; chcę tylko abyś mnie kochał, uważał się za mego domownika, a dzisiaj pozwolił mi być obecnym na instalacji wielkiego łowczego.

— Otóż nam się znowu zachciewa! — rzekł Remy.

— O! nie; przyrzekam ci, że będę roztroprnym.

— Ale na koniu być potrzeba?

— Koniecznie.

— Czy masz pan konia, któryby lekko nosił?

— Mam do wyboru.

— A więc, weź pan takiego, jakiegobys dał damie, będącej na portrecie.

— Jak uważam, mój Remy, znasz drogę do mego serca; lękam się, abyś mi nie wzbronił udać się na łowy, na których spodziewam się napotkać wiele znakomitych kobiet, a może i ową damę. To pewnie nie zwyczajna mieszcanka, bo owe bogate sprzęty, ów zbytek, zdradzają, jeżeli nie wyższe urodzenie, to przynajmniej dostatek. A! gdybym ją spotkał!

— Być może — filozoficznie odpowiedział Haudouin.

— Gdyby do tego ów dom znaleźć — rzekł Bussy z westchnieniem.



— I dostać się doń — dodał Remy.

— Mniejsza o to — rzekł Bussy — mam zawsze środek, chociaż czasem mniej bezpieczny.

— Jaki?

— Moja szpada.

— To budzi we mnie nadzieję, że długo przy panu zostanę.

— Bądź o to spokojnym, mój drogi; zdaje mi się, że cię znam od lat dwudziestu i nie mógłbym obejść się bez ciebie.

Miła twarz młodego lekarza rozjaśniła się pod wpływem radości.

— A więc — rzekł — rozstajemy się: pan jedziesz na polowanie, ja idę na ulicę Beautrellis, aby stamtąd ów dom odszukać.

— Byłoby przyjemnie, żeby każdy z nas z czemś powrócił.

Bussy i Haudouin rozeszli się jak dwaj przyjaciele.

W rzeczy samej w lasku Vincennes odbywało się z okazji objęcia obowiązków wielkiego łowczego, przez pana Brian de Monsoreau. Uczestnicy nabożnej procesji towarzyszącej pokutującemu królowi, nie byli pewni, czy Henryk będzie obecny, bo w czasie takiego nabożeństwa, często król nie tylko wychodził z Luwru, ale nawet zamykał się w klasztorze.

Przecież około godziny dziewiątej rano, rozeszła się wiadomość, że król z księciem Andegaweńskim udadzą się na łowy.

Miejsce spotkania się wyznaczono myśliwym na placu Ś-go Ludwika.

Było to miejsce, gdzie rósł ów sławny dąb, pod którym król-męczennik wymierzał sprawiedliwość.

Wszyscy już byli obecni, gdy nowy oficer zupeł-

nie nieznanym na dworze, ukazał się na wspianym karym koniu.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego.

Był to mężczyzna mający około lat trzydziestu pięciu, wysoki, ospowaty o twarzy ulegającej zmianom stosownie do uczuć, co wszystko na pierwszy rzut oka niekorzystnie uprzedzało o nim.

Wrzeczy samej, sympatje rodzą się na pierwszy rzut oka; twarz szczerą i uśmiech serdeczny przyciągają spojrzenia.

Ubrany w kurtkę zieloną, obszytą galonem srebrnym, na głowie mając czapkę z piórem, w lewej ręce szeroki miecz na dziki, w prawej złożony kij do rozsuwania gałęzi, który miał podać królowi, pan Monsoreau mógł się wydawać groźnym, ale bynajmniej nie pięknym.

— A! jaką szkaradną figurę sprowadziłeś Mości książę — mówił Bussy do księcia Andegaweńskiego. — Czyż w Paryżu nic podobnego znaleźć nie mogłeś i musiałeś szukać aż na prowincji? Nie chciałem wierzyć temu co mówią, że Wasza książęca mość uparteś się, aby ten człowiek został wielkim łowczym.

— Pan Monsoreau, usłużył mi i wynagradzam go — odpowiedział lakonicznie książę Andegaweński.

— Tem piękniej, gdy książę jest wdzięczny, im rzadszą jest ta cnota; ale nie o to idzie, albowiem i ja wiernie służyłem Waszej książęcej mości i potrafiłbym nosić mundur wielkiego łowczego, równie dobrze, jak to straszdyło. Wszak on ma brodę czerwoną to powiększa jeszcze jego piękność.

— Nie wiedziałem, że trzeba być zbudowanym na wzór Apolina, aby piastować urzędy dworskie — odpowiedział książę.

— To dziwna, że Wasza książęca mość nie wiedziałeś o tem.

— Ja radzę się serca nie twarzy, i wynagradzam zasługi położone, a nie nadzieję na nie.

— Wasza książęca mość powiesz, że jestem nadto ciekawy — odparł Bussy — lecz szukam nadaremnie, jaką usługę Waszej książęcej mości mógł oddać pan de Monsoreau.

— Prawda, że jesteś bardzo ciekawy.

— Otóż książęta! — zawołał Bussy ze zwyczajną sobie śmiałością. — Pytają ciebie, musisz wszystko powiedzieć; to raz ich zapytasz i słowa bąknąć nie raczą.

— Prawda — odpowiedział książę — ale ja tobie poradzę, co masz czynić, aby się dowiedzieć.

— Bardzo proszę.

— Idź do pana de Monsoreau i zapytaj go.

— Wasza książęca mość masz słuszość — rzekł Bussy — jeśli odpowiedzieć nie raczy, jest na to sposób.

— Jaki?

— Powiem mu, że jest niegrzeczny.

To rzekłszy, odwrócił się, i z kapeluszem w rękę zbliżył się do pana de Monsoreau, który będąc przedmiotem obserwacji dla wszystkich, czekał niecierpliwie, rychło król uwolni go od ciekawych spojrzeń.

Widząc Bussego przybywającego z wesołą twarzą i uśmiechem na ustach, wypogodził nieco czoło.

— Przebacz pan — mówił Bussy — widzę pana samotnym i muszę zapytać, czy łaska królewska tyłu zrobiła ci nowych nieprzyjaciół, że w tej chwili i dawni przyjaciele cię odstąpili?

— Na honor, panie hrabio — odrzekł pan de Monsoreau — nie wiem czemu przypisać, że przerywasz moją samotność.

— Wielkiemu podziwieniu, jakim natchnął mię książę Andegaweński — odrzekł Bussy.

— Jaktó?

— Opowiadając mi czyn, za który zostałeś pan wielkim łowczym.

Pan de Monsoreau zbladł tak okropnie, że dołki od ospy, pokrywające twarz jego, zdawały się czarnymi punktami na tle żółtem; jednocześnie spojrzął na pana Bussy wzrokiem zapowiadającym burzę.

Bussy widział, że niewłaściwie postąpił, jednak nie był jednym z ludzi, którzy się cofać umieją; owszem było jego zwyczajem niegrzeczność zastępować zuchwalstwem.

— Mówisz pan — odparł wielki łowczy — że Jego książęca mość opowiadał ci o moim czynie?

— Tak, panie, nawet ze zszczegółami, dlatego zapragnąłem posłyszeć to samo z ust twoich.

Pan de Monsoreau ścisnął miecz, jakby go chciał użyć przeciw Bussemu.

— Na honor — rzekł — chciałbym twojej ciekawości, panie, zadosyć uczynić, lecz na nieszczęście król przybywa więc zechcesz odłożyć to na później.

W rzeczy samej, król na hiszpańskim, ulubionym koniu posuwał się ku miejscu zebrania.

Bussy, potoczywszy oczyma, napotkał wzrok księcia Andegaweńskiego, który się złośliwie uśmiechał.

— Pan i sługa — pomyślał Bussy — dziwnie twarz wykrzywiają kiedy się śmieją, cóż dopiero gdy płaczą?

Król lubiący piękne rysy i kształty, niebardzo był zadowolony z pana de Monsoreau.

Przyjął jednak podany sobie kij złocony.

Jak tylko król się uzbroił, łucznicy poruszyli się i polowanie zaczęło.

Bussy umieścił się na boku, chcąc widzieć całe towarzystwo. W każdej damie upatrywał podobieństwo do portretu, lecz napróżno; były piękne i bardzo

piękne kobiety na tem polowaniu, lecz nie było czarującej istoty, której szukał.

Po chwili, otoczyło go zwyczajne koło przyjaciół.

Antraquet, wiecznie mówiący i śmiejący się, nie pozwolił mu się nudzić.

— Straszno mamy wielkiego łowczego — rzekł do pana Bussy.

— Jakaż musi być jego rodzina!... Bądź łaskaw, pokaż mi jego żonę.

— Wielki łowczy ma się dopiero żenić — odpowiedział Antraquet.

— Skąd wiesz o tem?

— Od pani Veudron, która go znajduje bardzo pięknym i chętnieby poszła za niego, jak Lukrecja Borgia za czwartego męża hrabiego d'Est. Patrzaj, jak ociera koniem o niego.

— Z jakiej okolicy jest łowczy? — zapytał Bussy.

— Z Anjou.

— Czy bogaty?

— Tak mówią przynajmniej; w rzeczy samej, ma pochodzić z drobnej szlachty.

— Któż jest kochanką tego gbura?

— Nie ma kochanki, pan de Monsoreau jest szczególny w swoim rodzaju; otóż ksiązę Andegaweński cię przyzywa.

— Niech poczeka. Ten człowiek, nie wiem dlaczego podnieca moją ciekawość; bo cóż to za nazwisko, Monsoreau!

— Mysia góra — odparł Antraquet — oto etymologja; stary ksiądz dziś mię tego nauczył: „Monsoricis”.

— Nie żądam więcej.

— A! czekaj, czekaj — zawołał nagle Antraquet.

— Na co?

- Liwaret ją zna.
- Kogo zna?
- „Mons soricis“ to jego sąsiednia ziemia.
- Liwaret, Liwaret, powiedz nam...
- Liwaret zbliżył się.
- Objaśnij nas o Monsoreau.
- Chętnie.
- Ale czy to długo?
- Bardzo krótko. W trzech wyrazach, oto nic o nim nie wiem. Myślę tylko...
- I cóż myślisz?...
- Słuchajcie... powracałem pewnego wieczora...
- To coś strasznie się zaczyna — przerwał Antraguët.
- Nie dasz mi mówić.
- Pozwalam, proszę nawet.
- Pewnego wieczora, powracałem od mego wuja d'Entragues przez las Meridor, jest temu blisko sześć miesięcy, gdy nagle słyszę krzyk straszny i widzę białego konia, osiodłanego, pędzącego bez jeźdźca. Giegnę natychmiast i w końcu drogi, w mroku spowodowanym nocą, spostrzegam mężczyznę, jadącego na karym koniu. Krzyk ozwał się na nowo i poznałem, że ów jeździec miał przed sobą kobietę, której usta ręką zatykał. Miałem broń i pewno byłbym go ubił, gdyby ma fuzja nie spaliła na panewce.
- A potem co?... — zapytał Bussy.
- Potem, spotkawszy gajowego, pytałem, co to za pan unosił młodą niewiastę; odpowiedział mi, że to pan de Monsoreau.
- No i cóż — mówił Antraguët — cóż to dziwnego porwać kobietę?
- Tak — odrzekł Bussy — ale jej usta zatykać!
- Cóż to za jedna?... — zapytał Antraguët.
- O! tego to już nie wiem.

— To niepospolity człowiek — rzekł Bussy, bardzo mię zainteresował.

— Ma sławę — mówił Liwaret — okrutnego człowieka.

— Powiedz jeszcze co o nim.

— Nic wprawdzie nie uczynił tak głośnego; nawet, jak mówią, dobry jest dla swoich wieśniaków, przecież w okolicy boją się go jak ognia.

— Ma to być zawołany strzelec, jak Nemrod, a król, nigdy mieć nie będzie łowczego jemu równego.

— Zawsze lepiej, że godność ta dostała się jemu, a nie panu de Saint-Luc.

— Czy nie widzisz, że ksiązę Andegaweński cię przyzywa?... — rzekł Antraguët do pana Bussy.

— Niechaj przyzywa. Czy wiesz co się stało z Saint-Lucem?

— Nie nie wiem; czy jest w więzieniu?... — zapytał z uśmiechem Livaret.

— Zapewne — odrzekł Antraguët, — bo go tutaj nie widać.

— Bynajmniej, dzisiejszej nocy wyjechał do majątku żony.

— Jakto! wygnany?

— Prawie.

— Sain-Luc wygnany? niepodobna.

— Prawda, jak Ewangelja.

— Według świętego Łukasza.

— Bynajmniej; według marszałka Brissac, który dziś rano powiedział mi o tem.

— Ach! to coś nowego i ciekawego; musi to być przykrem dla pana de Monsoreau.

— Zgadzam się — rzekł Bussy.

— Na co?

— Odgadłem.

— Co odgadłeś?

— Jaką zrobił przysługę księciu Andegaweńskiemu.

— Sain-Luc?

— Gdzie tam, Monsoreau.

— Doprawdy?

— Nie inaczej. Zobaczycie, tylko pójdźcie ze mną.

Bussy popędził konia, aby przybyć do księcia Andegaweńskiego, który zdruzony daremnie dawał mu znaków, sam do niego podjeżdżał.

Za Bussym ruszyli d'Antraquet i Livaret.

— A! Mości książę — rzekł Bussy — co to za człowiek ten pan Monsoreau!

— Doprawdy?

— To trudne do uwierzenia.

— Więc z nim mówiłeś?... — zapytał książę.

— Mówiłem; jaki wykształcony umysł!

— I pytałeś go co dla mnie uczynił?

— Właśnie to był cel mojej rozmowy.

— I odpowiedział ci?... — zapytał książę.

— Tak, nawet bardzo grzecznie.

— I cóż ci powiedział mój waligóro?

— Wyznał mi, że dla Waszej książęcej mości dostarcza...

— Zwierzyny.

— Nie, nie zwierzyny, ale kobiet

— Co, co?... — zapytał książę z zachmurzonym czołem — mój Bussy, co znaczą te żarty?

— To znaczy, że dla Waszej książęcej mości porywa na swego czarnego konia kobiety i żeby nie krzyczały, usta im ręką zatyka.

Książę zmarszczył brwi, ścisnął pięści, zbladł i puścił konia galopem.

— Ha! ha!... — mówił Antraquet — wyborny żarcik.



— Tem lepszy, że nie dla wszystkich za żart uchodzi — dodał Livaret.

— Zdaję mi się, że go porządnie kolnąłem, zakończył Bussy.

Po chwili słyhać było głos księcia Andegawenckiego, który wołał:

— Bussy! Bussy!

— Jestem na usługi Waszej książęcej mości — rzekł Bussy nadbiegając.

Zastał księcia uśmiechającego się.

— Wasza książęca mość raczy mi przebaczyć, bo to co powiedziałem, był żart.

— Nie Bussy, ja tego za żart nie wziąłem.

— Tem gorzej; byłbym rozśmieszył księcia, który śmiać się nie lubi.

— I owszem, w tej chwili się śmieję, a to z tego, że bronisz fałszu, abyś się prawdy dowiedział.

— Bynajmniej, ja mówię świętą prawdę.

— A więc dobrze, póki jesteśmy sami powiedz mi ową historję, której mi kazałeś się domyślać.

— Tę z lasu Meridor?

Książę raz jeszcze zbladł, ale nic nie rzekł.

— Zapewne — pomyślał Bussy — książę ma coś wspólnego z ową porwaną kobietą.

— Nich mię Wasza książęca mość raczy nauczyć, jaki jest najlepszy sposób służenia jemu, abym mógł rywalizować z panem de Monsoreau — głośno odezwał się Bussy.

— Jest jeden i chętnie cię nauczę...

Książę pociągnął pana Bussy na stronę.

— Słuchaj — rzekł — wypadkiem, w kościele, spotkałem piękną kobietę, której rysy bardzo mi przypominają ukochaną przezemnie osobę, poszedłem za nią i wiem gdzie mieszka. Służąca jej jest przekupiona i mam klucz od jej domu.

— Dotąd dobrze, Mości ksiązę.  
— Mówią, że jest roztropna, chociaż młoda i piękna.

— A! Mości ksiązę, to coś urojonego.

— Słuchaj, jesteś waleczny i kochasz mnie, jak mówisz.

— Moje życie...

— Jest dla ciebie.

— Bynajmniej: na to, abym Waszą księżęcą mość kochał.

— Kiedy tak, to masz zrobić to, cobyś zrobił dla samego siebie.

—Może Wasza księżęcą mość chcesz, abym za niego kochał się, dla przekonania tej piękności?... najchętniej.

— Idzie tu o to mój drogi, czy kto się w niej nie kocha.

— To się wszystko wyjaśni z czasem.

— Właśnie chcę wiedzieć, co to za mężczyzna bywa u niej.

— A więc jest i mężczyzna?

— Właśnie tego się lękam.

— Kochanek, czy mąż?

— Przynajmniej zazdrosny.

— Tem lepiej, Mości ksiązę.

— Jakto, lepiej?

— Podwójna korzyść.

— Dziękuję za nią. Tymczasem, chciałbym wiedzieć, co to za mężczyzna...

— I mnie każesz się o tem dowiedzieć?

— Tak, jeżeli zechcesz zrobić mi tę przysługę.

— A Wasza księżęcą mość gdy miejsce zawakuje, zrobisz mnie wielkim łowczym?

— Na honor, będę ci tak obowiązany mój Bussy, jak nikomu,

— Pozwól Mości ksiązę, niech się namyślę.

— A przecież od tak dawna oświadczasz mi twoje usługi.

— A więc słuchaj, Mości ksiązę.

— Czy przystajesz?

— Mieć oko na tę damę?

— Tak.

— Wolałbym inne zlecenie.

— Cofasz się?

— Bo to rzemiosło podglądania...

— Przysługa przyjacielska. Przytem, ja sądzę, że tam i szpady dobyć będzie potrzeba.

Bussy potrząsł głową.

— Mości ksiązę — rzekł — są rzeczy, które człowiek sam tylko dobrze wykona, chociażby był i księciem.

— A więc odmawiasz?

— Tak, Mości ksiązę.

Książę brwi zmarszczył.

— Usłucham twej rady — rzekł — pójdę sam, jeżeli zaś zginę, albo będę raniony, niech wiedzą, że prosiłem mojego przyjaciela Bussy, aby mię wyręczył i że on raz w życiu, i to dla mnie, był ostrożnym.

— Mości ksiązę — odpowiedział Bussy — pewnego wieczora mówiłeś mi: Bussy, nienawidzę tych ulubieńców królewskich, którzy z nas szydzą; masz iść na wesele Saint-Luca, szukać okazji do sprzeczki i pozbyć się ich... Mości ksiązę, poszedłem tam, ich było pięciu, a ja jeden; wprowadzili mię w zasadzkę, ubili konia, a przecież ranilem ich dwóch, trzeciego powaliłem o ziemię. Dzisiaj żądasz, Mości ksiązę, abym krzywdę wyrządził kobiecie... Przebacz, Mości

książę, ale to przechodzi granicę usług, jakie człowiek szlachetny oddać może.

— Dobrze — rzekł książę — sam więc tego dopełnię, albo z d'Aurillym.

— Przebacz, Mości książę — rzekł Bussy, któremu nowa myśl przyszła do głowy.

— Co?...

— Czy w tej sprawie byłeś, Mości książę, gdy ulubieńcy króla na mnie czatowali?...

W tej samej.

— Zatem twoja piękna nieznajoma mieszka koło Bastylji?...

— Wprost ś-tej Ktarzyny.

— Czy tak?...

— Jest to kolica, w której doskonale rozbijać.

— Czy Wasza książęca mość byłeś tam po tym wieczorze?....

— Wczoraj....

— I widziałeś?

— Człowieka, który się skradał i który, widąc spostrzeższy mnie, zatrzymał się przed bramą.

— Ten człowiek sam był?... — zapytał Bussy.

— Tak, prawie przez pół godziny.

— A potem?...

— Jakiś inny z latarką przyszedł do niego.

— A!...

— Wtedy, człowiek w płaszczu... — mówił dalej książę.

— Pierwszy był w płaszczu — przerwał Bussy.

— Tak, wtedy człowiek w płaszczu i ów z latarnią zaczęli z sobą rozmawiać i skoro nie myśleli opuszczać swego stanowiska, ja zawróciłem.

— Zrażony podwójnem niepowodzeniem?...

— Tak, przyznaję. Nim się dostanę do tego domu, ktokolwiek może mię zabić.

— Wasza książęca mość wolałbyś, aby zabili którego z twoich przyjaciół.

— Bynajmniej, ale ten przyjaciel nie jest księciem i nie ma tylu nieprzyjaciół; przytem, przyzwyczajony do podobnych przygód, umie sobie w nich radzić.

— Mości książę — rzekł Bussy — na twojem miejscu, wyrzekłbym się tej kobiety.

— O!... nie.

— Dlaczego?...

— Zanadto jest piękna.

— Mówisz, żeś zaledwie ją widział.

— Dosyś, aby ocenić prześliczne blond włosy.

— Aha!...

— Śliczne oczy.

— Aha!...

— Cerę, jakiej nie widziałem nigdy, i postać cudowną.

— Rozumiem.

— Takiej kobiety nie łatwo się wyrzec.

— Pojmuję Waszą książęcą mość i jego położenie mnie boli.

Książę spojrział na Bussego z boku.

— Żartujesz.

— Nie, i na dowód tego, gotów jestem dzisiejszej nocy udać się tam.

— Więc się namyśliłeś?...

— Tylko Grzegorz XIII-ty niewzruszony jest w zdaniu; powiedz Mości książę, co mam czynić.

— Ukryć się w pewnej odległości, którą ci oznaczę, jeżeli jaki mężczyzna wejdzie, iść za nim, aby się przekonać, co on za jeden.

— Tak. Ale on wchodząc, drzwi za sobą zamyka.

— Mówiłem ci, że mam klucz.

— Prawda; tylko boję się, ażebym nie poszedł za innym mężczyzną, i żeby klucz nie nadał się do innych drzwi.

— Nie można się omylić. W tej bramie, po lewej stronie są schody, wejdiesz na dwanaście stopni i będziesz na korytarzu.

— Jakto, wiesz o tem Mości księżę, choć nigdy w tym domu nie byłeś?...

— Czyż ci nie powiedziałem, że mam przekupioną służącą. Ona mi wszystko objaśniła.

— Wygodnie to być księciem!... — zawołał Busy. — Gdyby tak ja, musiałbym wszystko sam zrobić, i dom wynaleźć i schody policzyć i zmierzyć korytarz. Toby mi wiele czasu zabrało i kto wie, co bym zrobił?...

— A zatem przystajesz?...

— Czy ja mogę Waszej księżęcej mości czegokolwiek odmówić?... Tylko Wasza księżęca mość opiszesz mi bramę.

— Wybornie, a co mam czynić, jeśli przyjdzie mężczyzna?...

— Iść za nim, aż się dowiesz, co on za jeden.

— To niebezpieczne; a jeśli on zatrzyma się w drodze i krótko rzecz rozwiąże?...

— Pozwalam ci postąpić, jak ci się rzewnie podobą.

— Więc mam pozwolenie działania jak dla siebie?...

— Jak dla siebie samego.

— Tak też uczynię, Mości księżę.

— Tylko ani słowa młodym paniczom,

— Słowo honoru.

— Ale nikt z tobą nie pójdzie?...

— Ja sam, przysięgam.

— A więc zgoda, powracamy koło Bastylji, pokazę ci bramę, a klucz oddam wieczorem.

— I zastąpię Waszą książęcą mość — zakończył Bussy.

Książę wraz z Bussym powrócili na łowy, które genialnie prowadził pan de Monsoreau.

Król był zadowolony z jego rozporządzeń i ze swojego stanowiska.

Po dwugodzinnej zabawie, po przebiegnięciu czterech, albo pięciu mil, zwierz wyszedł na strzał jego.

Pan de Monsoreau otrzymał pochwały tak króla, jak i księcia.

— Mości książę — rzekł — szczęśliwy jestem, mogąc na twoje pochwały zasłużyć, bo tobie winien jestem godność moją.

— Ale żebyś wciąż zasługiwał na moje względy — odrzekł książę — musisz jeszcze dzisiaj wyjechać do Fontaineblau; król chce polować pojutrze i dni następnych, a jeden dzień nie zanadto na poznanie lasów.

— Wiem o tem, Mości książę — odpowiedział Monsoreau — moje przygotowania do podróży bardzo krótkie i mogę zaraz wyjechać.

— Al... panie do Monsoreau — mówił Bussy — teraz nie możesz się spodziewać spoczynku. Chciałeś być wielkim łowczym, więc jesteś. Na tem stanowisku najmniej pięćdziesiąt nocy niewygodnych przepędzisz; szczęście, że żony nie masz.

Bussy uśmiechnął się, mówiąc to. Książę wzro-

kiem zmierzył wielkiego łowczego i poszedł powin-  
szować królowi, że lepiej wygląda.

Pan de Monsoreau na żart Bussego zbladł, a ry-  
sy jego nieprzyjemny przybrały wyraz.

## ROZDZIAŁ XI.

### JAKIM SPOSOBEM BUSSY WYNALAZŁ POR- TRET I ORYGINAŁ.

Około czwartej przed wieczorem skończono ło-  
wy; o piątej, jak gdyby król przewidział życzenia  
księcia Andegaweńskiego, cały dwór powracał do  
Paryża przedmieściem Ś-go Antoniego.

Pan de Monsoreau, pod pozorem, że ma wyjeź-  
dzać, pożegnał księcia i skierował się ku Fromenteau.

Przejeżdżając około Bastylji, król wskazywał  
swoim przyjaciołom groźną i posępną jej powierz-  
chowość; był to środek przypomnienia, co ich cze-  
kało, gdyby kiedy odwrócili od niego uczucia swoje.

Wielu pojęło to, i podwoili uprzejmość dla mo-  
narchy.

Tymczasem, ksiązę Andegaweński mówił do  
Bussego, jadącego obok:

— Patrzaj, Bussy, patrzaj na prawo, na ten dom  
drewniany, z wizerunkiem Najświętszej Panny, patrz  
w prostej linii, cztery domy stamtąd.

— Patrzę — odpowiedział Bussy.

— Piąty dom — mówił ksiązę, — ten, co jest  
wprost ulicy Ś-tej Katarzyny.

— Widzę go... Patrzaj Mości ksiązę, jak wszyst-  
kie okna napełniają się widzami.



— Wyjąwszy domu, który ci pokazuję; w nim okna są zamknięte.

— Ale firanka w jednym się unosi — rzekł Bussy z biciem serca.

— Jednak nic widzieć nie można... O!... ona jest dobrze strzeżona!... Otóż ten dom; w pałacu oddam ci klucz....

Bussy strzelił oczyma na firankę nieco odsłoniętą, jednak nic nie mógł dostrzec.

Powróciwszy do pałacu, książę dał Bussemu przyrzeczony klucz.

Bussy powtórzył przyrzeczenie i oddalił się do siebie.

— I cóż?... — rzekł do lekarza Remy.

— Ja toż samo uczynię pytanie.

— Nic nie znalazłeś?...

— Ten dom jest niedostępny jak w dzień, tak w nocy. Błądzą pomiędzy kilkoma do siebie podobnemi.

— Kiedy tak — rzekł Bussy — to ja jestem szczęśliwszy, mój drogi Haudouin.

— Jakto, panie, więc i ty szukałeś?...

— Nie, tylko przejechał przez ulicę.

— I poznałeś bramę?...

— Opatrzność ma swoje ukryte i tajemnicze drogi.

— Więc jesteś pan pewny?...

— Nie mówię tego, ale się spodziewam.

— A kiedyż będę mógł dowiedzieć się, że znalazłeś co szukałeś?...

— Jutro rano.

— Tymczasem, czy mnie pan nie potrzebujesz?..

— Nie, mój drogi.

— Nie potrzeba, abym ci towarzyszył?...

— Nawet niepodobna.  
— Bądź pan przynajmniej, ostrożnym.  
— Ach!... mój drogi, niepotrzebne zalecenie, bo dobrze mię znają.

— Bussy jadł obiad, nie myśląc wcale, jak będzie wieszczę; następnie o ósmej wybrał najlepszą szpadę, przypasał, mimo zakazu króla, parę pistoletów, i obwinięty czarnym płaszczem, udał się na róg ulicy Ś-tej Katarzyny, postanowiwszy czekać dwie godziny, a w razie, gdyby nikt się nie ukazał, działać na własny rachunek.

Przybywszy na miejsce, poznał dom z wizerunkiem Najświętszej Panny, policzył następne cztery domy, i stanął przy oznaczonym.

Dziewiąta wybiła właśnie.

Zaledwie upłynęło dziesięć minut, gdy ujrzał dwóch jezdnych, przybywających przez bramę Bastylji.

Stanęli przy placu Tournelles.

Jeden z nich zsiadł z konia, podał cugle drugiemu, i postępował do domu, przy którym Bussy czatował.

Zbliżywszy się, obejrzał się dokoła, jakby dla przekonania, czy kto nań nie patrzy, a czując się bezpiecznym, podszedł do bramy i zniknął.

Bussy słyszał skrzypnięcie zawias.

Zaczekał chwilę, bojąc się, aby owa tajemnicza osoba nie stała za bramą; później dopiero otworzył ją i zamknął napowrót bez łośkotu.

Wtedy odwrócił się i przekonał, że przez ową bramę, patrzył wczoraj na Quelusa.

Potem postępował powoli macając ściany i na lewo napotkał pierwszy schód.

Tu zatrzymał się z dwóch przyczyn: naprzód, po-

nieważ ze wzruszenia nogi mu drżały, następnie, bo usłyszał głos mówiący:

— Gertrudo, uprzedź panią, że to ja i że pragnę wejść.

Żądanie było wyrzeczone tonem rozkazującym i nie znoszącym odmowy; po chwili, Bussy usłyszał głos służącej:

— Przejdź pan do salonu, pani natychmiast przybędzie.

Później posłyszał skrzyp zamykających się drzwi.

Wtedy pomyślał o dwunastu schodach, które Remy policzył, porachował je z kolei i stanął w przedsionku.

Przypomniał sobie korytarz i troje drzwi.

Zrobił kilka kroków wstrzymując oddech i wyciągając rękę przed siebie.

Pierwsze drzwi, których dotknął, były te właśnie, któremi wszedł nieznanomy.

Idąc dalej napotkał drugie, dotknął ich i znalazł klucz w zamku.

Drżącą ręką zakręcił go i drzwi się otwały.

Pokój, do którego wszedł Bussy, ciemny był tylko z sąsiedniego przechodziło doń nieco światła.

Odbicie tego światła padało na okno zasłonięte firanką.

Rzucił okiem na część sufitu rozjaśnioną światłem i poznał malowidło.

Wyciągnął rękę i dotknął łóżka z rzeźbami.

Nie mógł już wątpić; znajdował się w pokoju, w którym się przebudził po otrzymaniu rany.

Dreszcz przeszedł Bussego gdy dotknął owego łóżka, albowiem uczuł się otoczony wonią młodej i pięknej kobiety.

Ukrył się za firanką i słuchał.

W sąsiednim pokoju słychać było kroki niecierpliwe nieznanego, który co chwila zatrzymywał się mówiąc:

— Kiedyż przyjdzie?

Wreszcie, otworzyły się drzwi salonu równoległe do pierwszych.

Kobierzec zadrżał pod drobną nóżką i do uszu Bussego doszedł szelest jedwabnej sukni.

Jednocześnie ozwał się głos.

— Otóż jestem, czegoż pan jeszcze wymagaś?

— O! — pomyślał Bussy — jeśli to kochanek, jest czego mężowi powinszować.

— Pani — rzekł mężczyzna, którego tak obojętnie przyjęto — mam honor oznajmić ci, że jutro wyjeżdżam do Fontaineblau i chcę noc spędzić przy tobie.

— Czy pan przynosisz mi wieści od ojca? — zapytał ten sam głos kobiety.

— Pani, słuchaj mnie...

— Wiesz pan pod jakim warunkiem zostałam wczoraj żoną twoją; pod warunkiem, że mój ojciec przybędzie natychmiast do Paryża, albo ja się udam do niego.

— Po moim powrocie z Fontaineblau pojedziemy razem, daję ci pani na to słowo, tymczasem...

— Nie zamykaj pan drzwi, to napróżno, ja jednej chwili z tobą nie spędzę, dopóki nie będę wiedziała o moim ojcu.

I kobieta, mówiąca tak groźnie, dmuchnęła w srebrną piszczałkę, która przeciągły głos wydała.

Tym sposobem przywoływano w owej epoce służących, albowiem dzwonek jeszcze nie znano.

Natychmiast drzwi, któremi wszedł Bussy, otwary się na nowo i ukazała się młoda kobieta.

Była to wysoka i silna dziewczyna z Meridor, która tylko czekała wezwania swej pani.

Wchodząc do salonu, zostawiła drzwi otwarte.

Promień światła przeniknął do pokoju, w którym Bussy był ukryty i pozwolił mu ujrzeć portret pomiędzy oknami.

— Gertrudo — rzekła dama — nie kładź się i czekaj na moje wezwanie.

Pokojowa oddaliła się, zostawiając drzwi od salonu otwarte; tym sposobem portret był dla Bussego widzialnym.

Chciał się podsunąć ile można najciszej, ale posadzka skrzypnęła i dama zwróciła się w tę stronę.

Był to oryginał portretu, była to nimfa wymarzona.

Mężczyzna choć nie słyszał, zwrócił się jednak za jej przykładem.

Był to pan de Monsoreau.

— A! — rzekł Bussy — biały koń.. porwana niewiasta... O! pewny jestem jakiejś okropnej historii.

Obtarł twarz, potem oblaną.

Widział ich oboje; ją bladą, wzgradliwą, jego, o cerze oliwkowej, gryzącego paznokcie.

— Pani — rzekł nakoniec pan de Monsoreau — przestań ze mną odgrywać rolę kobiety prześladowanej; jesteś w Paryżu, w moim domu, jesteś hrabiną do Monsoreau, to jest moją żoną.

— Skoro jestem pańską żoną, czemu mnie nie odprowadzisz do ojca, dlaczego mnie ukrywasz przed światem?...

— Czyś pani zapomniała o księciu Andegawen-  
skim?...

— Upewniałeś mię pan, że będąc twoją żoną, nie  
będę potrzebowała lękać się go.

— To jest...

— Upewniałeś mię...

— Ach, jeszcze muszę być ostrożnym.

— A więc dokończ twojego dzieła i wtedy przy-  
bądź.

— Djano — rzekł hrabia, na którego twarzy znać  
było gniew. — Djano, nie igraj ze świętym węzłem  
małżeństwa. Usłuchaj rady jaką ci daję!

— Spraw pan, abym miała zaufanie do męża a  
będę szanować małżeństwo.

— Sądzę, że mojem postępowaniem zasłużyłem  
na zaufanie.

— A ja sądzą, że pan nie działałeś dla mego  
dobra...

— O!... tego za wiele — zawołał hrabia. Jesteś  
w moim domu, pani jesteś moją żoną i sam szatan nie  
zaprzeczy mi prawa własności...

Bussy dotknął ręką szpady i krok naprzód po-  
stał; lecz Djana nie dała mu czasu na ukazanie się.

— Patrzaj pan — rzekła, dobywając z zapasa  
ukryty sztylet — oto moja odpowiedź.

I wpadając do pokoju, w którym stał Bussy, za-  
trzasnęła drzwi, pchnęła zasuwkę, a tymczasem pan  
de Monsoreau bił w deski pięścią.

— Jeśli pan — mówiła spokojnie Djana — na-  
ruszysz drzwi, znajdziesz mię na progu nieżywą.

— Bądź pani spokojną — rzekł Bussy, obejmując  
jej kibić — masz tutaj właśnie obrońcę.

Pan de Monsoreau nogą we drzwi uderzył; lecz

bojąc się, aby Djana nie wykonała groźby, trzasnął drzwiami i wyszedł.

— Panie — zawołała Djana, wydzierając się z rąk Bussego i cofając się w tył. — Kto jesteś i jak tu wszedłeś?...

— Pani!... — odezwał się Bussy, otwierając drzwi i padając na kolana — jesetm człowiekiem, któremu życie ocaliła. Nie sądź pani, abym tutaj wszedł w złych zamiarach, albo nastawał na twój honor.

Dzięki jasnemu światłu, Djana poznała młodzieńca.

— A!... pan tutaj — zawołała, składając ręce — pan byłeś tutaj i wszystko słyszałeś?...

— Niestety!...

— Ale kto jesteś?... jak się nazywasz?...

— Jestem Ludwik de Clermont, hrabia de Bussy.

— Bussy, waleczny Bussy!... — krzyknęła w prostocie ducha, nie wiedząc jaką radość sprawia młodemu człowiekowi. — A!... Gertrudo — rzekła, zwracając mowę do służącej, która weszła słysząc że pani z kimś obcym rozmawia, — Gertrudo, nie mam się czego obawiać, bo mój honor, powierzam od tej chwili, najwaleczniejszemu francuskiemu rycerzowi.

Później, wyciągnąwszy rękę, rzekła:

— Wstań pan; wiem kto jesteś, teraz należy, abyś wiedział, kto ja jestem...

## ROZDZIAŁ XII.

### KTO BYŁA DJANA DE MERIDOR.

Bussy powstał upojony szczęściem i wszedł z Djaną do salonu, z którego pan de Monsoreau dopiero co wyszedł.

Spojrzał z uwielbieniem na Djanę i pojął, dlaczego kobieta, której szukał, wyższą jest nad jego marzenia, bo rzeczywistość nieskończenie przewyższała wyobraźnię.

Djana miała lat osiemnaście, lub dziewiętnaście; to jest: była w najpiękniejszym kwiecie wdzięków i młodości; w epoce życia, w jakiej kwiat najświeższą barwą jaśnieje, w której najmilszy przyrzeka owoc.

Łatwo odgadła, że ją Bussy podziwiał, i nie miała siły zmniejszyć jego uniesienia.

Nakoniec przerwała milczenie, zawiele mówiące...

— Panie — rzekła — odpowiedziałeś na jedno z moich pytań, a pomiąłeś drugie; pytałam kto jesteś i zaspokoiliś mię, pragnę teraz wiedzieć, jak wszedłeś tutaj?

— Pani — rzekł Bussy — z kilku pochwyconych wyrazów rozmowy z panem de Monsoreau pojąłem, że przyczyna mojej tu bytności wypływa z wypadków, któreś przyrzekła dać mi poznać; wszak przed chwilą mówiłaś, że raczysz powiedzieć kto jesteś?

— O! tak hrabio, wszystko ci opowiem — od rzekła Djana, twoje nazwisko natchnęło mię zaufaniem, bom je często słyszała, jako nazwisko walecznego rycerza, którego honor jest nieskazitelny.



Bussy skłonił się.

— Ztego, co pan słyszałeś, — mówiła Djana, wiesz zapewne, że jestem córką barona de Meridor, to jest dziedziczką majątku i znakomitego imienia przodków.

— Zdaje mi się — rzekł Bussy — że któryś baron de Meridor, mogąc pod Pawją ocalić wolność, oddał swój miecz Hiszpanom a gdy król dostał się do niewoli, żądał by mógł towarzyszyć Franciszkowi I-mu do Madrytu i podzielić z nim niewolę. Pozwolono mu, lecz potem powrócił do Francji, aby traktować o wykup.

— To mój ojciec panie. Jeżeli kiedy będziesz w zamku Meridor, zobaczysz portret Franciszka I-go, ofiarowany memu ojcu na pamiątkę. Jest on dziełem Leonarda de Vinci.

— A!... — rzekł Bussy — w owym czasie jeszcze monarchowie umieli nagradzać zasługi.

— Za powrotem z Hiszpanji, ojciec mój ożenił się. Dwóch pierwszych synów umarło. Była to wielka boleść dla barona, który stracił nadzieję odzycia w potomku. Wkrótce, zgon króla powiększył rozpacz dobrego ojca, opuścił więc dwór i zamieszkał w zamku Meridor. Tam w dziesięć lat po śmierci braci, ja się urodziłam.

Cała miłość barona zlała się na mnie; jego uczucia nie znały granic.

W trzy lata po urodzeniu, straciłam matkę; był to nowy cios dla ojca...

Nie pojmowałam, co utraciłam, uśmiechałam się a uśmiech mój pocieszał ojca, po stracie czulej żony.

Rosłam, rozwijałam się pod jego oczyma.

Jak ja byłam wszystkim dla ojca, tak również dla mnie on był całym światem.

Doszedłam do lat szesnastu nie myśląc nawet, że jest inny świat jak moje owieczki, pawie, łabędzie i gołąbki; nie myśląc, że to życie zmienić się musi.

Zamek Meridor wznosi się wśród obszernych lasów, należących do księcia Andegaweńskiego; lasy te były pełne sarn, jeleni, których nie prześladowano; znałam je wszystkie, niekiedy przybiegały do mnie, osobliwie jedna łania, moja ulubiona Dafne, przychodziła jeść z mojej dłoni.

Jednej wiosny, przeszło miesiąc jej nie widziałam, sądziłam, że zdechła, i opłakałam ją jak przyjaciółkę, gdy nagle przysłała z dwoma jelenkami, które naprzód uciekały przedemną, a potem, za przykładem matki, przyszły się ze mną pieścić.

Około tego czasu, doszła nas wiadomość, że księżę Andegaweński przysłał swojego rządcę do stolicy prowincji.

W kilka dni potem, dowiedziano się, że nazywał się Monsoreau.

Nie wiem dlaczego, nazwisko to przykrość mi sprawiło; dzisiaj wnoszę, że to było przecucie.

Upłynął tydzień, mówiono dużo o panu de Monsoreau.

Pewnego rana w lesie rozległy się dźwięki trąbki i odgłosy gonienia psów; pobiegłam aż do kraty parku i ujrzałam moją biedną Dafnę, która biegła jak błyskawica, ścigana przez myśliwych; dwa jelenki biegły tuż za nią.

Chwilę potem, przebiegł mężczyzna na karym koniu, który zdawał się mieć skrzydła, tak bieg jego był szybki.

Był to pan de Monsoreau.

Chciałam krzyknąć, chciałam prosić o łaskę dla

mojej Dafne, lecz nie usłyszałby krzyku, tak zapalony był do łowów.

Wtedy zapominając jaki mogę sprawić niepokój ojcu, gdyby spostrzegł moją nieobecność, pobiegłam wprost za myśliwymi; spodziewałam się bowiem spotkać albo samego hrabiego, albo kogoś z jego służby i prosić ich, aby zaprzestali ścigania.

Zrobiłam przeszło pół mili nie wiedząc gdzie biegnę, bo od dawna łanię i myśliwych straciłam z oczu. Po chwili i gonienie psów ucichło, a ja siadłam pod drzewm i płakać zaczęłam.

Już przeszło kwadrans siedziałam, kiedy odgłos łowów mię dobiegł i zdawał się coraz bardziej przybliżać.

Podniosłam się i pobiegłam w stronę odgłosu.

W rzeczy samej, ziejąca Dafne przebiegła jak błyskawica, a za nią jeden tylko jelonek; drugi padł ze zmęczenia i pewnie go psy rozszarpały.

Łania była też zmęczona, odległość między nią a pogonią co raz się zmniejszała, bieg jej zmienił się w podskoki, a mijając mnie, ryknęła żałośnie.

Chciałam zawołać.

Pan de Monsoreau widział tylko ściganą łanię i przebiegł jak huragan z trąbką przy ustach.

Zanim trzej czy czterej dojeżdżacze podniecali psy trąbkami i głosem.

Ten wir szczenia, trąbek i głosów przeszedł jak burza, znikł w gęstwinie lasu i skonał w oddali.

Byłam w rozpacz; mówiłam sobie, że gdybym była pięćdziesiąt kroków dalej, hrabia byłby mię widział i na prośbę moją oszczędziłby biedną łanię.

Ta myśl podnieciła we mnie odwagę, łowy mogły po trzeci raz około mnie przechodzić.

Szłam wciąż drogą , ocienioną pięknymi drzewami i poznałam, że ta droga wiedzie do zamku Beauje.

Zamek ten należał do księcia Andegaweńskiego i był odległy od posiadłości mojego ojca o trzy mile.

Nie długo spostrzegłam, że zrobiłam trzy mile pieszo i że byłam sama i daleko od zamku Meridor.

Przyznam się, że teraz dreszcz mię przejmuję, gdy wspomnę nierozsądne moje postępowanie.

Szłam nad brzegiem wody, myśląc udać się do znajomego nam ogrodnika, który śliczne przynosił mi kwiaty, i prosić aby mię odprowadził do domu; w tem łowy znowu słyszeć się dały.

Stałam i zaczęłam pilnie słuchać.

Wrzask rósł i zapomniałam o wszystkim.

Prawie w tym samym czasie z drugiej strony wody, ukazała się łania, lecz pogoń już ją dosięgała.

Była sama, bo drugi jelonek padł; widok wody dodał jej sił, nozdrzami wciągnęła w siebie świeże powietrze i rzuciła się w staw, jakby chciała do mnie się dostać.

Z początku płynęła prędko i pozornie odzyskiwała siły.

Patrzyłam na nią ze łzami w oczach i wyciągniętymi rękami, prawie tak oddychając jak ona.

Nieznacznie siły poczęły ją opuszczać, a psy podwajały zaciekłość.

Dosięgły ją... W tymże czasie pan de Monsoreau wychylił się z lasu, przybiegł nad wodę i skoczył z konia.

Wtedy zebrałam siły i zawołałam składając ręce: łaski! łaski!

Zdaje się, że spostrzegł mię; krzyknęłam silniej niż pierwej.

Usłyszał, bo podniósł głowę, widziałam jak pobiegł do łodzi, odwiązał ją i udał się do biednej łani, którą psy obskoczyły.

Sądziłam, że wzruszony moją prośbą, niesie pomoc biednemu zwierzęciu, gdy on dobywszy kordelasa i błysnąwszy nim w powietrzu, zadał cios biednej Dafne.

Krew trysnęła i zafarbowała wodę.

Łania jęknęła okropnie, uderzyła wodę nogami, wyciągnęła się i padła.

Krzyknęłam tak boleśnie jak ona i padłam omdlała.

Kiedym przyszła do siebie, ujrzałam się w pałacu Beauge a mój ojciec, po którego posłano, płakał przy moim łóżku.

Ponieważ było to chwilowe mocne wzruszenie, nazajutrz mogłam powrócić do Meridor; przecież trzy czy cztery dni pozostałam w pałacu.

Czwartego dnia, ojciec mówił mi, że pan de Monsoreau, który mię widział gdym zemdląła, co dzień przychodził pytać o moje zdrowie; rozpaczął, gdy się dowiedział, z jakiej przyczyny cierpiałam i pragnął usprawiedliwić się mówiąc, że będzie szczęśliwy, gdy przebaczenie z ust moich usłyszy.

Śmiesznie byłoby odmówić; mimo wstrętu, pozwoliłam więc mu przyjść.

Nazajutrz, przedstawił się i wtedy pojęłam śmieszność mojego położenia: polowanie jest zabawą, którą niekiedy kobiety podzielają, to było dla mnie obroną, a nadto przywiązanie, jakie miałam do biednej Dafny.

Hrabia wyjawiał swoją rozpacz i zaklinał się na honor, że byłby oszczędził sarenki, gdyby był wiedział, że ja tak jej żałuję; przecież jego usprawiedli-

wienia nie przekonały mnie i hrabia odszedł nie umniejszwszy przykrego wrażenia, jakie na mnie sprawił.

Wychodząc, prosił mojego ojca o pozwolenie odwiedzania nas.

Urodził się w Hiszpanji, wychował w Madrycie, więc baronowi było przyjemnie mówić o kraju, w którym długo przebywał.

Prócz tego, hrabia pochodził ze znakomitego rodu, był ulubieńcem księcia Andegaweńskiego i mój ojciec nie miał powodu nieprzyjmowania go w domu.

Niestety! od tej chwili przestałam być nie tylko szczęśliwą, ale i spokojną.

Wkrótce spostrzegłam, że uczyniłam na nim wrażenie.

Z początku, bywał raz na tydzień, później dwa, później codziennie.

Uprzedzający dla mego ojca, umiał mu się podobać.

Hrabia był i dla mnie uprzedzający jak dla kochanki, a pełen uszanowania, jak dla siostry.

Pewnego rana, ojciec wszedł do mego pokoju poważniejszy niż zwykle, a w jego powadze przebiła się coś radośnego.

— Moje dziecię — rzekł do mnie — zawsze mi mówiłaś, że jesteś przy mnie szczęśliwą.

— Najszczęśliwszą! — zawołałam — nigdy nie chcę cię odstąpić.

— A więc moja Djano — mówił dalej schylając się aby mię w czoło pocałować — twoje szczęście zależy tylko od ciebie.

Spodziewałam się tego co miał powiedzieć i zbladłam tak okropnie, że zatrzymał się, nim usta na mojem czole położył.

— Djano, moje dziecię! — zawołał — co tobie?

— Pan de Monsoreau — wyjąkałam.

— I cóż? — zapytał zdziwiony.

— O! nigdy, mój ojczy, jeśli masz cokolwiek li-  
tości dla twego dziecka.

— Djano, moje dziecię, wiesz jak cię kocham i  
pragnę szczęścia twójego! Rozważ dobrze i jeżeli w  
ośmiu dniach...

— Nie, nie — zawołałam — to napróżno, nie  
potrzebuję do namysłu nietylko ośmiu dni, ale ośmiu  
godzin, ani nawet minuty. O! nie, nie...

I zalałam się łzami.

Ojciec rzadko widząc mię płaczącą, wziął mnie  
w objęcia i upewnił słowem honoru, że nigdy nie  
wspomni o tem małżeństwie.

W rzeczy samej, miesiąc upłynął, a nie widzia-  
łam pana de Monsoreau, nawet nie słyszałam o nim.

Pewnego dnia, odebraliśmy zaproszenie na bal,  
który pan de Monsoreau dawał dla królewskiego  
brata.

Zabawa miała się odbyć w ratuszu w Angers.

Do tego listu, dołączone było osobiste zaprosze-  
nie księcia, który pisał do mego ojca, że znając go  
z dworu Henryka, z przyjemnością będzie go widział  
u siebie.

Chciałam prosić ojca, aby odmówił i uczyniłby  
tak, gdyby nas tylko pan de Monsoreau zapraszał;  
lecz ponieważ księżę miał brać w tem udział, niepo-  
dobna go było obrażać.

Udaliśmy się na tę uroczystość... Pan de Monso-  
reau przyjął nas, jakby nic nie zaszło; jego obejście  
względem mnie było tak obojętne, że ani grzeczno-  
ścią, ani zawiścią nie wyróżniał mnie z pośród in-  
nych kobiet.

Wcale inne było postępowanie księcia Andega-  
weńskiego.

Ujrawszy mnie, wlepił wzrok i na chwilę go nie spuścił.

Czułam się onieśmieloną pod tem spojrzeniem i nic nie mówiąc ojcu, prosiłam, aby jak najwcześniej opuścić zabawę.

W trzy dni potem, pan de Monsoreau przybył do Meridor, ujrzałam go zdaleka i schroniłam się do mego pokoju.

Bałam się, aby ojciec nie kazał mię przywołać.

W pół godziny pan de Monsoreau wyjechał a ojciec nic mi nawet nie mówił o jego odwiedzinach, tylko zauważyłam, że był smutniejszy niż zwykle.

Kilka dni upłynęło.

Właśnie powracałam z przechadzki, gdy powiedziano mi, że pan de Monsoreau jest u ojca, że ojciec pokilkakroć o mnie pytał i kazał donieść sobie, kiedy powrócę.

Ledwie weszłam do mego pokoju, ojciec mój przybiegł.

— Moje dziecię — rzekł, — ważna przyczyna zmusza mnie do rozstania się z tobą na dni kilka: nie pytaj mnie o nic i uważaj, że musi być tego potrzeba, że tydzień, a może miesiąc nie będę cię widział.

Zadrzałam, chociaż nie przenikałam, na jakie byłam wystawiona niebezpieczeństwo; powtórne odwiedziny pana de Monsoreau nic mi dobrego wróżyć nie mogły.

— Gdzież mam się udać, mój ojczy? — zapytałam.

— Do zamku de Lude, do mojej siostry, gdzie



zostaniesz przed wszystkimi ukrytą. Przybędziesz tam w nocy, aby nie obudzić podejrzeń.

— Ty mi nie będziesz towarzyszył ojcze?

— Nie, to mogłoby także wzbudzić podejrzenia, a nawet nasi ludzie nic wiedzieć nie będą o twoim wyjeździe.

— Z kimże pojedę?

— Z dwoma pewnymi ludźmi.

— A! mój Boże! mój ojcze!

Baron uściskał mnie.

— Moje dziecko — rzekł — potrzeba tego wymaga.

Tak pewną byłam miłości ojca, że nie pytałam więcej, żadnego nie żądałam objaśnienia.

Ułożono, że Gertruda, córka mojej mamki, miała mi towarzyszyć.

Ojciec opuścił mnie, mówiąc, abym była gotowa.

Wieczorem o ósmej godzinie, było bardzo ciemno i zimno, bo to były dni zimowe; ojciec przyszedł do mnie.

Byłam gotowa jak mi zalecił; zeszliśmy do ogrodu, sam otworzył furtkę wychodzącą do lasu i tam zastaliśmy powóz, i dwóch ludzi.

Mój ojciec długo z nimi rozmawiał, jak się zdaje mnie im polecając; następnie wsiadłam z Gertrudą do powozu.

Baron uściskał mię raz ostatni i ruszyliśmy.

Nie wiedziałam jakie mi groziło niebezpieczeństwo i dlaczego opuszczałam zamek Meridor; pytałam Gertrudy, ale i ona nie wiedziała o niczem.

Nie śmiałam pytać moich przewodników, bo ich nie znałam.

Jechaliśmy w milczeniu krętymi drogami, gdy po

upływie dwóch godzin, w chwili, gdy mimo niepokoju poczęłam usypiać ukołysana ruchome powozu, uczułam, jak Gertruda chwytła mię za ramię.

— Ach! panienko — rzekła biedna dziewczyna — co to takiego?

Wychyliłam głowę i ujrzałam, że nas otoczyło sześciu zamaskowanych jeźdźców; nasi ludzie, chcący się bronić, zostali rozbrojeni.

Zanadto byłam przestraszona, ażeby wołać pomocy, zresztą, któżby nam pomógł?

Dowódzca owych zamaskowanych, przystąpił do drzwiczek i rzekł: niech pani będzie spokojną, nic jej się złego nie stanie. Proszę tylko udać się za nami.

— Gdzie? — zapytałam.

— Tam, gdzie z panią będą się obchodzić jak z królową.

Obietnica ta więcej mię jeszcze strwożyła.

— O! mój ojczel! mój ojczel! — rzekłam do siebie.

— Panienko — odezwała się cicho Gertruda — ja znam te okolice i jeżeli zechcesz, możemy uciekać.

— Ta rada nie uspokoiła mnie; przecież przyjemnie było pomyśleć, że ktoś chce nas ratować, odzyskałam też nieco sił.

— Czyńcie panowie, co wam się podoba — rzekłam, jesteśmy kobietami i nie umiemy się bronić.

Jeden z jeźdźców zsiadł z konia, zajął miejsce woźnicy i zwrócił powóz w inną stronę.

Bussy, jak to łatwo pojąć, słuchał opowiadania z największym zajęciem: w pierwszych chwilach miłości, jest jakieś religijne uwielbienie dla osoby, którą zaczynamy kochać.

Kobieta wybrana jest wyższą nad inne, staje się bóstwem niejako.

Każde jej słowo zdaje nam się łaską, każdy uśmiech, nadmiarem szczęścia.

Bussy, nie śmiał przerywać opowiadającej, każdy szczegół jej życia był dlań nader interesujący i słuchał słów Djany, z takim zajęciem, jakby od nich życie jego zawisło.

Młoda kobieta uległa podwójnemu wrażeniu, przeszłości i terażniejszości.

Zatrzymała się chwilę, Bussy nie mogąc wstrzymać swej ciekawości, rzekł ze złożonemi rękoma:

— Mów pani dalej, mów.

Djana poznała, że uczyniła wrażenie.

Głos, poruszenia, wyraz twarzy, wszystko było w zgodzie z wymówionemi wyrazami.

Uśmiechnęła się więc smutnie i mówiła:

— Po trzech godzinach jazdy, powóz zatrzymał się. Słyszałam, jak zaskrzypiała brama, przemówiono kilka wyrazów, przejechaliśmy po moście a wychyliwszy głowę, przekonałam się, że jesteśmy na dziedzińcu zamkowym.

Co to był za zamek? ani ja, ani Gertruda nie wiedziałyśmy wcale.

W-drodze nieraz chciałyśmy poznać okolice, ale tylko las był dokoła i myślałyśmy, że dla lepszego złudzenia, tę drogę wybrano.

Drzwiczki powozu otworzono i ten sam człowiek, który z nami mówił, przyszedł nas wysadzić.

Przyjęło nas dwóch ludzi z pochodniami, zapewne należących do zamku.

Jak nam przyrzeczono, uwięzione miałyśmy być ze wszelkiemi względami.

Udałyśmy się za owymi ludźmi, którzy nas wprowadzili do sypialnego pokoju, bogato przybranego,

przypominającego swoją świetnością czasy Franciszka I-go.

Wieczera wspaniale zastawiona czekała.

— Jesteś pani u siebie — rzekł mężczyzna, który już podwakroć do nas przemawiał; że zaś służąca może ci być potrzebną, jej pokój jest obok twojego.

Gertruda i ja spojrzaliśmy na siebie.

— Ilekroć będziesz czego potrzebowała — mówił zamaskowany mężczyzna, zapukaj tylko we drzwi, a czuwający w przedpokoju stawi się na twoje rozkazy.

Ta pozorna grzeczność kazała się domyślać, że jesteśmy strzeżone.

Zamaskowany mężczyzna skłonił się i wyszedł, słyszałyśmy, jak zamknął za sobą drzwi na dwa spusty.

Zostałyśmy same, patrząc nieruchomo na dwa kandelabry, które oświetlały stół jadalny.

Gertruda pierwsza chciała przemówić, ale dałam jej znak aby milczała, z obawy, czy nas kto nie podsłuchuje.

Drzwi pokoju przeznaczonego dla Gertrudy były otwarte; przyszła nam chęć zobaczyć go i na palcach, z kandelabrem w ręku, weszłyśmy tam...

Był to obeszorny pokój, przeznaczony, jakby na garderobę i dopełnienie sypialnego.

Drzwii wychodziły równolegle do drzwi pierwszego pokoju.

Przy tych drzwiach, równie jak przy pierwszych, był młotek metalowy pięknej roboty: obydwie zdawały mi się dziełem Benvenuto Cellini.

Widocznie, oboje drzwi wychodziły do tego samego przedpokoju.

Gertruda zbliżyła światło do zamku; na podwójny spust był zamknięty.

Byłyśmy więc uwięzione.

Trudno wypowiedzieć, jak dwie osoby, chociażby różnego stanu, na jednakowe narażone niebezpieczeństwo, mają wspólne myśli i nie mówiąc nawet, udzielają ich sobie.

Gertruda zbliżyła się do mnie.

— Czy panienka uważała — rzekła — żeśmy tylko pięć stopni przebyły?

— Tak, odpowiedziałam.

— Jesteśmy więc na dole.

— Bezwątpienia.

— Tak że... — dodała zniżając głos i patrząc na okiennice.

— Gdyby nie kraty, przerwałam.

— A czy panienka miałaby odwagę?

— Odwagę!.. — zawałałam, bądź o to spokojna.

Tym razem Gertruda dała mi znak milczenia.

— Tak, tak, rozumiem, rzekłam.

Gertruda dała mi znak, abym pozostała na miejscu i poszła zanieść kandelabr do sypialnego pokoju.

Pojęłam jej zamiary i zbliżyłam się do okna, aby obejrzeć rygle.

Znalazłam je, albo raczej Gertruda, i okiennica się odemknęła.

Krzyknęłam z radości, okno nie było okratowane.

Gertruda wkrótce spostrzegła przyczynę tego pozornego niedbalstwa naszych stróżów: obszerna fosa oblewała podłoże muru i woda lepiej nas strzegła, niż kraty.

Spojrząwszy na przeciwny brzeg wody, poznałam miejscowość; byłyśmy uwięzione w zamku Beauge, gdzie, jak mówiłam, byłam z moim ojcem przed miesiącem na balu.

Zamek de Beauge należał do księcia Andegawenckiego.

Jakby oświecona uderzeniem piorunu, zrozumiałam wszystko.

Spojrzałam na wodę z dziką radością, albowiem myślałam, że ona będzie ostatnią ucieczką przed hańbą.

Zamknęłyśmy napowrót okiennice.

Ubrana rzuciłam się na łóżko, Gertruda zaś usnęła na krześle przy mnie.

Ze dwadzieścia razy budziłam się nagle tej nocy, doświadczając niesłuchanej trwogi; usprawiedliwić ją mogło położenie, w jakim się znajdowałam.

Prawda, nic nie uprzedzało o złych zamiarach, wszystko wokoło było spokojne i najmniejszy szelest nie przerywał ciszy.

Dzień zajaśniał; dzień który odjąwszy nocą ponurość krajobrazowi, utwierdził mię tylko w obawie.

Ucieczka była niepodobną bez pomocy z zewnątrz, a któż mógł jej udzielić?

Około dziewiątej, zapukano do drzwi; przeszłam do pokoju Gertrudy, a jej kazałem otworzyć.

Byli to wczorajsi służący; wynieśli wieczerzę nie-  
tkniętą, a przynieśli śniadanie.

Gertruda zadała im kilka pytań, na które nie odpowiedzieli.

Wyszłam wtedy.

Pobyt w zamku do Beauge i uszanowanie, jakim nas otoczono, tłumaczyły mi wszystko.

Książę andegaweński widział mię na balu danym przez pan de Monsoreau, książę zakochał się we mnie; mój ojciec dowiedział się o tem i chciał mię usunąć, ale zdradzony, bądź przez wiarołomnego sługę, bądź prze nieszczęśliwy przypadek, zawiódł się w swoich nadziejach, a ja wpadłam w ręce człowieka, którego on chciał uniknąć.

Na prośbę Gertrudy wypłam filizankę mleka i zjadłam kawałek chleba.

Ranek upłynął na projektowaniu ucieczki.

O dwieście kroków, wpośród trzciny, mogliśmy dojrzeć łódź, która przy pomocy silnej ręki Gertrudy, mogłaby nam służyć.

Tego ranka nic nas nie zaniepokoiło, podano nam obiad, a ja upadałam z osłabienia.

Usiadłam do stołu, do którego Gertruda służyła, bo domownicy natychmiast się oddalili.

Łamiąc chleb, ujrzałam mały bilecik.

Otworzywszy go, przeczytałam te słowa.

„Przyjaciel czuwa nad tobą. Jutro będziesz miała wiadomość od niego i od ojca”.

Łatwo pojąć radość moją, serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, pokazałam kartkę Gertrudzie.

Reszta dnia upłynęła w nadziei i oczekiwaniu.

Druga noc upłynęła równie spokojnie jak pierwsza: nastąpiła godzina śniadania, której niecierpliwie wyglądałam, spodziewając się znaleźć w chlebie nowy bilecik; nie myślałam się, kartka zawierała te słowa:

„Osoba, która cię porwała, przybywa dzisiaj o 10-tej do zamku Beauge, lecz przyjaciel czuwa nad tobą, będzie pod twemi oknami o 9-ej z listem od twego ojca, który zaleca ci ufność dla obrońcy”.

„Spal tę kartkę”.

Kilkakroć przeczytałam kartkę, następnie podług zalecenia, wrzuciłam w ogień.

Pismo zupełnie było mi nieznanne.

Obydwie z Gertrudą gubiłyśmy się w domysłach; po stokroć biegałyśmy do okna, chcąc ujrzeć kogo na brzegu, lub w głębi lasu, lecz daremnie, wszędzie było pusto.

W godzinę po obiedzie, zapukano do drzwi, po

raz pierwszy o tej godzinie po naszym przybyciu: kazałam otworzyć.

Wszedł mężczyzna, który już z nami mówił.

Z twarzy, poznać go nie mogłam, bo był pierwszej zamaskowany, przecież z głosu poznałam go po pierwszym wyrazie.

Podał mi pismo.

— Od kogo, panie?... — zapytałam.

— Niech pani raczy przeczytać, a zobaczy — odrzekł.

— Nie będę czytała, nie wiedząc od kogo.

— Możesz pani uczynić, co się jej podoba. Miałem zlecenie oddać jej i oddałem.

To mówiąc, położył list na taborecie, na którym miałam oparte nogi i wszedł.

— Co czynić?... — zapytałam Gertrudy.

— Nie śmiem panience radzić — odrzekła — ale wypada przeczytać. Może ten list zawiera ostrzeżenie o niebezpieczeństwie i podaje nam środki ocalenia?

Rada była rozsądną.

Wzięłam list i otworzyłam.

Tu Djana przerwała opowiadanie, powstała i otworzywszy małą szkatułkę, az niej jedwabny pugilares wyjąwszy, dostała list.

Bussy spojrział na adres.

„Do ślicznej Djany Meridor“, przeczytał.

I spoglądając na młodą kobietę, rzekł:

— To pismo księcia Andegaweńskiego.

— A!... — mówiła z westchnieniem, nie omyliłam się zatem...

Gdy Bussy wahał się czytać, rzekła.

— Czytaj pan, przypadek wtajemniczył cię w moje życie, nie powinnam mieć dla pana tajemnic.

Bussy czytał:



„Nieszczęśliwy książę, którego twa piękność ugodziła w serce, o dziesiątej godzinie usprawiedliwi się ze swego postępowania, które tylko miłość może uniewinnić.

Franciszek“.

— A więc to pismo księcia Andegaweńskiego?... — zapytała Djana.

— Tak — odpowiedział Bussy — pismo i podpis własnoręczny.

Djana westchnęła.

— Miałżeby być mniej winnym, niż sądziłam?.. — rzekła cicho.

— Kto, książę?... — zapytał Bussy.

— Nie, on, hrabia de Monsoreau.

Teraz Bussy westchnął.

— Mów pani — rzekł — osądzimy księcia i hrabiego.

— List ten, którego autentyczności podejrzawać nie miałam przyczyny, albowiem usprawiedliwił moje obawy, tem droższą uczynił przyrzeczoną pomoc nieznanego, który działał w imieniu mojego ojca; w nim tylko miałam nadzieję.

Moje i Gertrudy spojrzenia biegły w stronę wody i lasu, lecz nic nie podniecało, ani usprawiedliwiało naszych nadziei, wszędzie było pusto.

Było to w styczniu, wieczory długie i do dziesiątej daleko.

Noc była pogodna i gdyby nie zimno, można by ją uważać za wiosenną lub jesienną, tak niebo pełne było gwiazd a księżyc na nowiu srebrnym połyskiwał blaskiem.

Otworzyłyśmy okna od pokoju Gertrudy, który w każdym razie mniej powinien być strzeżonym.

Około siódmej, lekka mgła podniosła się nad

powierzchnię wody, wyteżony wzrok zdołał ją przejrzeć.

Ponieważ nic nie oznaczało czasu, nie wiedzieliśmy, która godzina, lecz zdawało nam się, że na brzegu, widać jakieś cienie.

Zbliżały się one ostrożnie, kryjąc się w zaroślach.

Zjawisko to mogliśmy uważać za złudzenie, lecz doszło nas rzenie konia.

— To nasi przyjaciele — pomruknęła Gertruda.

— Albo księżę, odpowiedziałam.

— O! księżę by się nie ukrywał.

Ta uwaga przekonała mię.

Podwoiliśmy baczność.

Jakiś mężczyzna jechał przodem, pozostawiwszy innych w ukryciu.

Zsiadł z konia, podszedł do łodzi, odwiązał ją i w milczeniu ku nam dopływał.

W miarę jak się posuwał, wzrok mój silił się przebić ciemność.

Naprzód, zdawało mi się, że widzę wysoką postać, następnie i rysy pana de Monsoreau, na koniec, gdy był od nas o dziesięć kroków, żadnej już nie miałam wątpliwości.

Lękałam się teraz równie pomocy, jak niebezpieczeństwa.

Milczałam przytulona do okna, tak że nie mógł mię widzieć.

Przybywszy pod mur, przywiązał łódź do pierścienia i ujrzałam w oknie głowę jego.

Nie mogłam się wstrzymać, i krzyknęłam.

— A! przebaczenia — mówił hrabia de Monsoreau — sądziłem, że pani mię oczekujesz.

— Prawda, oczekiwałam, ale nie myślałam, że to pan przyjdiesz.

Gorzki uśmiech przebiegł po ustach hrabiego.

— Któż, oprócz mnie i ojca czuwa nad całością honoru Djany de Meridor.

— Mówiłeś pan w liście, że przybywasz w imieniu ojca mego.

— Tak pani i wiedząc, że będziesz powątpiewała, mam jego list własnoręczny.

I podał mi pismo.

Nie zapalałyśmy świec, aby lepiej widzieć w ciemności, dlatego przeszłam do mego pokoju i schyliłam nad kominem, wyczytałam te wyrazy.

„Moja droga Djano, pan hrabia de Monsoreau może cię wyrwać z grożącego niebezpieczeństwa. Zaufaj mu zupełnie, jako najlepszemu przyjacielowi, którego niebo nam zsyła. On ci opowie, jak pragnę, abyś zaciągnięty dług wdzięczności starała się wyplacić. O to cię prosi ojciec, nad którym miej litość. Baron de Meridor“.

Nic stanowczego nie miałam przeciwko panu de Monsoreau; wstręt, jakim mię natchnął, był raczej instynktownym, niż wyrozumowanym. Tylko śmierć łani mogłam mu zarzucić, a ta zbrodnia, jak na myśliwego, niegodną była wspomnienia.

Postąpiłam więc ku niemu.

— I cóż?... — zapytał.

— Panie, przeczytałam list mego ojca, który mówi, że masz mię stąd wywieźć; nie wspomina przecież nic, gdzie mię zaprowadzisz?...

— Zaprowadzę panią tam, gdzie baron jej oczekuje.

— Gdzież czeka na mnie?...

— W zamku de Meridor.

— A więc zobaczę mojego ojca?...

— Za dwie godziny.

— Ach!... panie, jeżeli mówisz prawdę...

Umilkłam, hrabia widocznie czekał na zakończenie zdania.

— Licz pan na wdzięczność moją — dodałam głosem drżącym, bo wiedziałam, że czeka na wdzięczność, której nie miałam siły okazać.

— A więc, — rzek hrabia — gotowa jesteś pani iść za mną?...

Spojrzałam niespokojnie na Gertrudę; łatwo było odgadnąć, że obecność hrabiego nie uspakajała jej wcale.

— Rozważ pani — mówił hrabia — że każda chwila jest drogą. Już i tak spóźniłem się o pół godziny, dziesiąta blisko, a księżę niebawem przyjdzie.

— Niestety!... tak — odpowiedziałam.

— Skoro księżę przybędzie, nic dla pani nie będę mógł uczynić, gdy teraz, przeciwnie, pewny jestem jej ocalenia.

— Dlaczegoż mój ojciec nie przybył?...

— Alboż pani myślisz, że ojciec nie jest otoczony? czy sądzisz, że może uczynić krok, aby nie widziano, gdzie się udaje?...

— A pan?... — zapytałam.

— Ja wcale co innego, ja jestem przyjacielem i zaufanym księcia.

— Skoro jesteś przyjacielem i zaufanym.

— Zdradzam go dla pani... tak, dla pani. Wszak mówiłem, że życie dla pani narażam.

Taki był wyraz prawdy w tej odpowiedzi hrabiego, że mimo wstrętu, ani słowa wyrzec nie mogłam.

— Czekam — rzekł hrabia.

Spojrzałam pytająco na Gertrudę.

— Patrzaj pani — ciągnął pan de Monsoreau — patrzaj w tę stronę.

Z przeciwnej strony wody, pokazał mi oddział jazdy, postępującej ku zamkowi.

— Co to za ludzie?... — zapytałam.

— To księżę Andegaweński i jego orszak — odpowiedział hrabia.

— Panienko!... panienko!... — zawołała Gertruda — niema chwili do stracenia.

— Dużo już ich straconych — mówił hrabia — w imię nieba!.. pani, decyduj się.

Upadłam na krzesło, sił mi zabrakło.

— O, Boże!.. Boże!.. co czynić? — mówiłam.

— Słuchaj pani — rzekł hrabia — pukają do bramy.

W rzeczy samej, słyhać było kołatanie dwóch ludzi, którzy orszak wyprzedzili.

— Za pięć minut już będzie po niewczasie.

Chciałam iść, lecz nogi chwiały się podemną.

— Gertrudo, Gertrudo — mówiłam.

— Panienko — rzekła biedna dziewczyna — czy słyszysz, bramę otwierają?... Czy słyszysz tentent koni?...

— Tak ,tak — odpowiedziałam — ale ja sił nie mam.

— Tylko oto chodzi?... — rzekła, i podnosząc mię jak dziecię na rękach, oddała hrabiemu.

Czując dotknięcie tego człowieka, zadrżałam tak gwałtownie, że o mało w wodę nie wpadłam.

Lecz on przycisnął mię mocno i złożył w łodzi.

Gertruda sama weszła.

Wtedy ujrzałam, że zasłona mi spadła z głowy i pływała po wodzie.

Przyszło mi na myśl, że to naprowadzi na nasz ślad.

— Zasłona!... zasłona!... — mówiłam hrabiemu —  
pochwyć pan moją zasłonę.

— Nie, niechaj zostanie — odpowiedział .

I chwytając za wiosło, tak gwałtownie odepchnął łódź, że w kilka minut dosięgłyśmy brzegu przeciwnego.

W tej chwili okna mojego pokoju zajaśniały.

— Czym cię zwodził, pani?... — rzekł pan de Monsoreau.

— Nie, nie panie — odrzekłam — jesteś moim prawdziwym wybawcą.

Światła przebiegały szybko to po Gertrudy, to po moim pokoju. Słyszeliśmy wołania i widzieli, jak jakiś mężczyzna zbliżył się do okna i spostrzegł zasłonę.

— Patrz, pani — rzekł hrabia — jak dobrze, że zostawiliśmy ślad po sobie. Księżę będzie sądził, żeś skoczyła w wodę, a my tymczasem ujdziemy.

Zadrżałam przed przebiegłością tego umysłu, który wszystko przewidział.

KONIEC TOMU I.

